

Zeszyt siedemnasty. Rocznik szósty.

SZCZĘŚCIE KOBIECE.

POWIEŚĆ

JANA ZACHARIASIEWICZA.

(DOKOŃCZENIE).

Rozdział XXV.

Towarzystwo krakowskie zaczęło się powoli ożywiać. Turyści i turystki wracali od wód zagranicznych, a gospodarze wiejscy, pokończywszy zasiewy, przywozili znowu młode żony swoje do miasta, jakto im przed ślubem byli przyobiecali.

Kampania zimowa rozpoczynała się świetnie. Wiele nowych domów przybyło z prowincyi, a speranda była jeszcze większa. Za powód podawano wypadki zeszłej zimy, które wieś zrobiły smutną i ponurą. Zresztą w boleści chcieli ludzie więcej zbliżyć się do siebie, bo razem bolejąc, było im jakoś lżej w duszy.

Korzystając z liczniejszego towarzystwa, zebrali się także liczniej kawalerowie, którzy na kampanii zimowej pewne nadzieje swoje pokładali.

Między nimi odznaczał się Edmund.

Edmund dopiero co wrócił z Paryża, dokąd zaraz po wypadkach był się wydalił. Protekcya krewnych wyrobiła mu wolny powrót, gdyż żadnych dowodów jego winy nie było. Cała wina spadła na jego rządcę, którego i tak zabili chłopi.

Edmund miał teraz pewien urok, który odnosił się do pobytu w Paryżu. Jedni zazdrościli mu, że miał kapelusz najpierwszej mody; inni pytali go, co Ludwik Filip myśli o zaszłych w Galicyi wypadkach.

Edmund umiał zręcznie o jednem i drugiem mówić, i tak wszyscy byli mu bardzo radzi.

Należał on do epuzerów pierwszego gatunku, a kilka matek już po kilka razy na dzień mówiło o tem córkom swoim posażnym.

Być może, że Edmund o tem wiedział, bo stosownie do roli swojej urządził się w mieszkanku swojem przy ulicy Grodzkiej.

Miał mały ale wykwintnie urządzony apartament, który wcale nie był podobny do jego pokoików na górskim folwarku. Zamiast strzelb i pałaszy wisiały tutaj nad łóżkiem obrazy kobiet ładnych, przedzielone rysunkami koni angielskich. Dalej był zbiór szpicrutów różnego kalibru, a na każdym był wyryty herb właściciela. Leżące na stole albumy miały także herby. Siedzący w przedpokoju służący miał białe kamasze, białą kamizelkę, a na guzikach nad herbami nawet koronę książęcą.

Takim urokiem i taką atmosferą był otoczony Edmund, gdy Adelaida z Olgą do Krakowa przyjechały.

Panna Flora przybiegła zaraz do Adelaidy, a dygnąwszy raz przed Olgą, obróciła się do niej plecyma i zaczęła szczebiotliwą rozmowę z panią domu, donosząc jej

roskoszną nowinę o przybyciu Edmunda, i zapytała, kiedy jej razem służyć mogą.

Szczęściem dla Olgi, że nie wiedziała, o kim mowa.

Adelaida przyjęłą tę wiadomość z zadowoleniem, ale prosiła kilka dni czasu, aby sobie odpoczęła, bo była podróżą mocno strudzona.

Panna Flora uznała to żądanie słusznem i sama zrobiła uwagę, że twarz Adelaidy jest trochę za żółta, szyja w podróży mocno się opaliła. Radziła jej myć się mlekiem, a potem używać proszku bismutowego.

Adelaida podziękowała jej za troskliwość, jaką dla niej okazywała, aby Edmundowi, który z Paryża przyjechał, mogła się podobać, i przyrzekła jej święcie, postarać się natychmiast o zachwalone kosmetyki.

Panna Flora na skrzydłach radości pobiegła do swojej przyjaciółki, która rozmaite wieści o Adelaidzie zbierała. Czekał tam na nią Edmund, któremu miała zdać relacyą z pierwszego widzenia się.

— Mówię ci, prześlicznie wygląda! — szczebiotała do niego — ma twarz trochę bladą, ale oczy, co za oczy! Takich oczu nawet w Paryżu nie widziałeś!... A zresztą znasz dobrze te oczy....

Edmund uśmiechnął się i pokręcił wąsik.

— A cóż powie pani Adelaida — rzekła z uśmiechem przyjaciółka panny Flory — cóż powie na koszyk od panny Jadwigi?

— Pst! — rzekła panna Flora — ona o tem nic nie wie! Nie trzeba aby wiedziała!... Kuzynko, to nie był twój krok szczęśliwy!

— Inaczej nie byłbym tutaj — z uśmiechem odpowiedział Edmund, poprawiając ufryzowane starannie włosy.

Panna Flora patrzała z uwielbieniem na swego pupila. Chwaliła jego angielskie bakenbardy, chwaliła szafirowy krawat w czarne centki, słowem chwaliła wszystko, co miał Edmund na sobie.

— Spodziewam się, że pan nie zakopiesz się na wsi, ożeniwszy się ze swoją kuzynką — rzekła do niego gazetka krakowska i uderzyła go poufale po ręce.

— Będzie to w moim własnym interesie, taki warunek wypełnić — odpowiedział Edmund.

— Kiedyż będą zapowiedzi?

— Nie prędzej aż w karnawale — odpowiedziała za kuzynka panna Flora — wtedy będzie całe towarzystwo w komplecie; zresztą trzeba skończyć żałobę.

— Ah! żałobę! — przeciągłym głosem powtórzyła przyjaciółka, patrząc złośliwie na Edmunda — jakoś zapomniałam o żałobie!

— Przecież dopiero dwudziestego lutego będzie rocznica — dorzuciła panna Flora.

— Tak, rocznica! — powtórzyła przyjaciółka.

Edmund zapinał i rozpinał rękawiczki.

— Adelaida mówiła mi, że czeka cię z niecierpliwością — szczebiotała panna Flora — ale dasz jej trochę wytchnąć po podróży; jest trochę słabą. Wypytywała mię o ciebie, chciała wszystko wiedzieć.... widziałam, że mówiła z pewną gorączką o tobie... oczy jej błyszczały zawsze jak pochodnie, gdy twoje imię wymawiała; słowem, jesteś szczęśliwy!

Edmund uśmiechnął się.

— Nie wiem, dla czego o tem mówisz panu Edmundowi — rzekła przyjaciółka z ironicznym uśmiechem — oni przecież już dawno znają się, i to znają się dobrze.

I na to uśmiechnął się Edmund.

— Doniosę ci, kiedy masz pójść do Adelaidy — mówiła dalej panna Flora — karty twojej nie potrzebuje, a nie przyjmie cię teraz, bo słaba.

Edmund podziękował pannie Florze za jej łaskawe serce, ale panna Flora wnet go rozczarowała.

— Nie bądź zarozumiały — rzekła do niego — nie dla ciebie ja to robię, ale dla familii, dla familii.

Edmund z uśmiechem przyjął to wyjaśnienie, i aż do chwili swego szczęścia pożegnał obie kobiety.

Wkrótce potém przechodził przez rynek pewnym krokiem zadowolonego człowieka.

Rozdział XXIV.

Tymczasem starała się Adelaida zasięgnąć szczegółowych informacyj o swoim kuzynie, aby stosownie do tego cały plan swój ułożyć.

To, o czem się dowiedziała, mocno ją zadziwiło. Wyobrażała sobie Edmunda, jak go dawniej znała, i na tem opierała swoje nadzieje. Tymczasem dekoracya się zmieniła. Do Krakowa przyjechał zamiast Edmunda jakiś inny człowiek, z którym trudno było doprowadzić rzeczy do szczęśliwego rezultatu.

Mimo to nie straciła odwagi.

Pewnego dnia wysłała Olgę do swojej przyjaciółki, starej pułkownikowej, o której istnieniu Edmund nie wiedział, a sama oświadczyła pannie Florze, że chce z Edmundem pomówić.

W oznaczonej godzinie stanął Edmund przed nią.

Adelaida przyjęła go z pewnem wzruszeniem. Mimo wszelkich rozumowań dzisiejszych był to zawsze człowiek, który stał się powodem pięknych acz niedługich marzeń. I byłaby może wzruszenie swoje więcej okazała, niźli to było w dzisiejszym jej planie, gdyby jego widok sam temu nie przeszkodził.

Nie byłto już ten Edmund, co dawniej.

Dzisiejszy Edmund byłto człowiek wielkiego świata, ubrany starannie według ostatniej mody, trzymający się prosto, jakby z żurnalu wycięty.

Twarz jego zmieniła się także. Zamiast naturalnego

zarostu, z którym tak mu było do twarzy, miał teraz bakenbardy angielskie i wysokie kołnierzyki, w które często chował całą brodę.

Widok taki oprzytomnił trochę Adelaidę.

Edmund powitał ją zimno i sztywnie, jak człowiek, który jest lub był pokrzywdzony i czeka wynagrodzenia za doznaną krzywdę.

Adelaida również zimno podała mu rękę.

— Cóż porabiasz w mieście, kochany kuzynie? — ozwała się z czarującym uśmiechem.

— Nie spodziewałem się takiego zapytania, kochana kuzynko — odpowiedział Edmund, bawiąc się lornetką — zdaje mi się, iż dosyć jest, że ty tu mieszkasz, aby tutaj przyjechać i zatrzymać się.

Adelaida uśmiechnęła się cierpko.

— Ach tyle rzeczy przedziela nas teraz! — westchnęła i spojrzała przed siebie.

— Chciałbym nic nie widzieć! — odparł Edmund i zakręcił lornetką w kółko.

— Czy nie widzisz grobu? — żywo zapytała Adelaida.

— Grobu?... Grobu?... przyznam się, że to słowo zbyt tragiczne, aby go mieszać do codziennej rozmowy.

— Sądziłam, że choć raz to słowo u mnie wymówić musisz.

— Wymówiłem go dwa razy; uczyniłem wielką krzywdę moim roskosznym marzeniom, z jakiemi tutaj przyszedłem. Pocóż budzić tych, którzy cicho leżą. Im cześć i szacunek, a dla nas życie nowe!

Adelaida westchnęła.

— Zostałeś przez ten krótki czas zimnym filozofem.

— Użyłem tej filozofii tylko dla ciebie, kochana kuzyno!

— W jakim zamiarze?

— Aby nawiązać to, co niefortunnie się zerwało...

— Nie wiem, o jakiem zerwaniu mówisz?

— O tem, o którem wiesz dobrze, kochana Adelo, o którem wie twoje serce....

Adelaida spojrzała z uwagą na Edmunda.

— Czy myślisz o tych ulotnych marzeniach?... rzekła po chwili z lekkim rumieńcem na twarzy.

— Dla czegoż nazywasz je ulotnemi?

— Bo uleciały, albo powinny ulecieć.

Edmund chwycił za rękę Adelaidę.

— Nie mów tak, bo mi odbierasz wszystko, co mam dzisiaj najdroższego!

Ironiczny uśmiech zaigrał na twarzy Adelaidy.

— Tego właśnie nie odbieram ci, co powinno ci być najdroższem! — rzekła z smutnym uśmiechem.

— Jeźli mi dajesz taką nadzieję — zawołał z ożywieniem Edmund, — to pozwól mi ucałować tę białą rączkę.

Adelaida cofnęła rękę.

— Czy masz jakie zamiary względem tej ręki? — zapytała żywo.

— Zdaje się, że miałbym nawet jakieś prawo — odrzekł zarumieniony na twarzy Edmund.

Adelaida odsunęła krzesło i założyła ręce na krzyż.

— Czy wiesz, co ludzie o nas mówią? — zapytała z poważnym wyrazem na twarzy.

— To, co jest rzeczą bardzo naturalną.

— Jakto naturalną?

— Że nie wzgardzisz moją prośbą i zostaniesz dla mnie za przysięgą tem, czem dawniej....

Wyrzekłszy te słowa, zbliżył się do niej i pochwycił jej rękę.

Adelaida powstała i cofnęła się krok w tył.

— Jesteś w błędzie — rzekła do niego z powagą — jeźli myślisz, że tak szczęśliwie łączy nas razem opinia ludzi? O nie, ta opinia stroi dzisiaj muzykę piekielną, aby nam wyprawić okropną serenadę, gdybyśmy razem przy ołtarzu uklękli.

— Cóż to jest? Nic nie pojmuję!

— Czy wiesz — przytłumionym głosem mówiła do niego Adelaida — czy ty wiesz, że wszyscy ludzie mówią o tem, żem dlatego wysłała męża z domu, aby po jego śmierci z tobą bogactwa podzielić?

Edmund cofnął się o kilka kroków i zbladł na twarzy.

— Czy ty wiesz, że ci ludzie pozbierali wszystkie szczegóły i pozory, i zestawili je razem w obraz prawdy przerażającej?

Edmund nie mógł wyjść z osłupienia.

— I dzisiaj chcesz, aby tę opinią uświęcić naszem postępowaniem; chcesz, aby ludzie już żadnej wątpliwości nie mieli, żeśmy oboje winni śmierci nieboszczyka!

Edmund powoli zaczął przychodzić do siebie.

Rozśmiał się gorżkim śmiechem i rzekł:

— Któż i kiedy ludziom zabronić może, aby nic nie mówili? Życieby nam nie wystarczyło, gdybyśmy wszystkie plotki omijać chcieli.

— O plotki mi nie chodzi, ale jeźli te plotki przechodzą w głos publiczny?...

— Głos publiczny?....

— Jeżeli ten głos publiczny ma za sobą wszelkie pozory prawdy?....

— Ktoż zważa na głosy publiczne!

— Taki głos publiczny jest w stanie przygnieść ciężarem swoim najodważniejszego człowieka!

— Dziwi mnie to, że od ciebie podobne zasady słyszę! Czy przypominasz sobie, żeś przed rokiem zupełnie inaczej twierdziła?

Adelaida uśmiechnęła się jak dyplomata, który widzi, że przeciwnik sam dla siebie stawia sidła.

— Przed rokiem? — powtórzyła, namyślając się — przed rokiem, cóż to było przed rokiem?

Edmund nie spostrzegł podstępu. W ferworze walki odrzekł bez namysłu:

— Przed rokiem przecież tak samo mówiłem do ciebie, gdy chodziło o opinią, jaka obiegała względem nagłego wyjazdu Olgi.

Tu utknął Edmund i lekko zarumienił się.

— Opinia, która obiegała względem Olgi? — powtórzyła dosyć obojętnie, jakby sobie dobrze przypomnieć nie mogła.

— Przecież przypominasz sobie — z żywością mówił dalej Edmund — że opinia publiczna, po wyjeździe Olgi z pałacu, obwiniała ją, że za pieniądze zrzekła się....

— Zrzekła się ciebie, coś ją tak zapamiętale kochał, że już ojcu chciałeś się o nią oświadczyć! — dokończyła Adelaida

Edmund zarumienił się, i zaczął kręcić lornetką wkoło palca.

— Mówiłem tylko o publicznej opinii — odrzekł po chwili nieśmiało.

— I o krzywdzie, jaką podówczas wyrządziła biednej Oldze ta opinia publiczna! — dodała ze złośliwym uśmiechem Adelaida.

— O rzeczach minionych nie chciałem tu mówić, ale chciałem zwrócić uwagę twoję na zasady, jakie miałaś podówczas. Twierdziłaś, że ludzie naszej sfery nie powinni nigdy zważać na to, co mówi opinia publiczna, którą nazwałaś lekkomyślną, nieobyczajną kobietą.

— Nie przeczę temu — z powagą odpowiedziała Adelaida — i chętnie wyznaję przed tobą, że wtedy zbłądziłam, i mocno zbłądziłam. Krzywda, wyrządzona Oldze wtedy, boli mnie mocno, i dziwię się bardzo, że ciebie także nie boli, co byłeś sprawcą tego wszystkiego!

— Cóż miałem robić z opinią publiczną, która jest wszędzie, a którą nigdzie schwytać nie można!

— Było zrobić to, coby tę opinią przekonało, że źle mówiła.

Edmund był widocznie zakłopotany.

— Przypominasz mi młode grzeszki, — rzekł po chwili — których tyle jest w codziennem życiu.

— Nie mów tego, bo Olgę kochałeś prawdziwą miłością, bez żadnej interwencyi osób trzecich, bez swatów, ciotek i babek, które czasem mogą obmotać niewinnego człowieka.

— Przecież z nią nie mógłbym się żenić! — rzekł z ironią.

Adelaida lekko pobladła. Takie usposobienie Edmunda mogło popsuć cały plan jej życia.

Dla czegoż nie mógłbyś się z nią ożenić? — zapytała głosem drżącym.

— Dziwi mnie to, że o to pytać się możesz, — odparł Edmund z widoczną radością, widząc, iż pole, na które tym zwrotem wchodzi, jest korzystne do walki z Adelaidą — dziwi mnie to, że mówisz do mnie w ten sposób. Przecież wiesz dobrze, że urodzenie nasze obowiązuje nas do czegoś, a czasem nawet do ofiar. Tradycya i ustawy towarzyskie nakreślają nam pewną linią, poza którą przejść nie można.

— Lękasz się wykroczyć przeciw tym wyobrażeniom?

— Nie inaczej.

— Przecież byłeś tak długo w obozie demokratycznym, chodziłeś pod rękę z ludźmi nieznanego nazwiska, a dzisiaj zrzekasz się tak zwanych zasad postępowych?

Edmund zmarszczył czoło i milczał czas niejaki. Potem uśmiechnął się i rzekł:

— Obowiązkiem naszym jest, płynąć razem z prądem czasu. Przed rokiem był czas taki, że ten sztandar dóminował. Nie chcąc być bezczynnym, zaciągnąłem się pod niego. Dzisiaj ten sztandar powalony; jestem znowu tem, czem byłem przedtem.

Adelaida rozśmiała się donośnym śmiechem. W tym śmiechu brzęczały jakieś struny żelazne.

— Cha! cha! cha! — rzekła do niego — czemu krócej nie mówisz, że wtedy była akcya, a teraz nastąpiła reakcya!

— Nazwij to, jak chcesz, o słowa mi nie chodzi! — z chmurą na czole odparł Edmund.

Adelaida wstała, zbliżyła się do niego, a biorąc go za rękę, rzekła do niego z powagą:

— Edmundzie! Poruszyłeś tutaj w rozmowie rzecz, która jest wielkiem nieszczęściem dla nas. Gdyby arystokracya była u nas tem, czem być powinna w dobrem znaczeniu tego słowa, a tak zwana demokracya także; gdyby jedna i druga robiła to, co jest jej obowiązkiem: byłby w społeczeństwie pewien podział pracy, w skutkach swoich bardzo korzystny. Jeżeli jednak jedni nic nie robią, tylko w porze akcyi pod drugi sztandar biegną i tam jego barwie służą, póki ten sztandar nie padnie, jeżeli po upadku takim znowu ten obóz opuszczają, aby dalej nic nie robić, tylko próżnować: to ludzie tacy nie zasłużyli na to, aby w potrzebie jakiej mogli odwoływać się do zasad idei, której nie pojmują.

Edmund patrzał z zadziwieniem na Adelaidę. O kazaniu podobnem ani marzył.

— Przed rokiem — mówiła dalej — wyparłeś się urodzenia swego, i byłbyś może za pomocą gilotyny równał ludzi między sobą; a dzisiaj kazałeś swój herb powybijać na guzikach lokaja, a nawet sięgnąłeś po rzecz nie swoję, bo po koronę książęcą, która ci się nie należy.

Edmund poczerwieniał.

— Nie wiedziałem, że kuzynka masz tak dobrą policyą! zauważył z uśmiechem.

— Czy chcesz, żebym ci wspomniała o nieszczęśliwym koszu, jaki odebrałeś, jadąc do Krakowa, od panny Jadwigi?

Twarz Edmunda była teraz podobną do szkarłatu

Powstał z krzesła i wziął kapelusz.

— Idąc tutaj — rzekł do Adelaidy, — szedłem z inną nadzieją; widzę, żem się oszukał.

— Zaczekaj Edmundzie — zawoła Adelaida, biorąc go za rękę — *l'home propose, dieu dispose!* Przyszedłeś tu, jak mówisz, z pewną nadzieją; nie chcę, abyś bez żadnej, choćby innej nadziei ztąd wyszedł.

Edmund spojrzał na nią zadziwiony.

— Wróć wspomnieniem do tej chwili, która była prawdziwem twojem szczęściem — rzekła do niego Adelaida z powagą.

W jej oczach zabłysły teraz łzy.

Temi łzami żegnała wszystkie dawne wspomnienia swoje.

Edmund nie mógł zrozumieć, co znaczą te łzy i te słowa.

— Wróć do Olgi! — dodała Adelaida.

Edmund na chwilę osłupiał. Jakkolwiek takiego zwrotu nigdy się nie spodziewał, jednak coś odezwało się w tej chwili w jego duszy, co mu wszystką krew do twarzy napędziło.

— Wrócić do Olgi? — zapytał z dziwnym wyrazem na twarzy.

— Wiem — odparła Adelaida — nawet za złe ci tego nie mam, że przedewszystkiem chodzi ci o majątek!.... Olga nie jest biedną!

Edmund patrzał ciągle na Adelaidę. Przy ostatnich słowach jakiś nieokreślony uśmiech zaigrał na jego ustach.

Zrozumiała ten uśmiech Adelaida.

— Olga jest bogatą — rzekła szybko — tak bogatą jak ja, ani o grosz mniej, ani więcej; ja za mąż nie pójdę.

Edmund patrzał na mówiącą, jakby jej słów nie rozumiał.

— Powiadam ci to bez świadka, ale Bóg słyszy nas! — ozwała się po chwili Adelaida, i wyprostowała się jakby nagle stanęła na koturnie.

W tej chwili ozwał się dzwonek w przedpokoju.

— Olga idzie! — rzekła po krótkiem milczeniu Adelaida.

— Olga? — powtórzył Edmund w najwyższem zakłopotaniu, nie wiedząc, co to znaczy.

— Czy nie wiedziałeś, że Olga u mnie od kilku dni bawi? — zapytała z uśmiechem Adelaida.

— Nie wiedziałem — odparł z wyrazem zakłopotania na twarzy Edmund.

— Nie przyznajże się do tego... jak i do innych rzeczy nie przyznawaj się.... a ja z mojej strony nic nie powiem.

Adelaida mówiła to z dobrotliwym uśmiechem. Edmund patrzał na nią z trwogą, jakby jej nie dowierzał.

Teraz otwarły się drzwi. Do salonu weszła Olga.

Olga miała paletocik z czarnego aksamitu i kapelusz ubrany w kłosy jęczmienia.

Czarny aksamit i żółte kłosy jęczmienia odbijały prześlicznie od jej twarzy białej, lekko zarumienionej, i od złotych połyskujących włosów.

Ciemno-szafirowe oczy Olgi stanęły nagle nieruchome, obaczywszy Edmunda.

Edmund nie wiedział, co ma robić.

Olga była tak piękną, tak uroczą! Jakaś świetlana aureola otaczała jej piękną głowę, jakby jasne ślady jej marzeń jasnych, a tak boleśnie prześnionych!...

Olga po lekkim ukłonie usiadła na krześle, bo czuła, że nogi drętwieją pod nią.

Edmund powoli zbliżał się do niej.

Widząc to Adelaida, powoli wysunęła się z salonu.

Za kilka tygodni o szarej gdzinie siedziała Adelaida na kozetce, a przy stoliku zajęła miejsce Olga. Na stoliku leżała ta sama cytra, która niegdyś tyle melodyj z siebie wydawała, a niedaleko cytry siedział Edmund rozpromieniony i rozmarzony. Ten sam księżyc świecił w okna z tą samą uroczą doliną.

Gdy Olga grać przestała, zwrócił Edmund rozmowę, jak to przed rokiem w tem samem miejscu tej samej melodyi słuchał z zapałem.

Olga odpowiedziała, że tę melodyą w górskim dworku często grywała i zawsze wyobrażała sobie, że Edmund jej słucha.

— Słuchałem, słuchałem niewątpliwie! — odrzekł Edmund i spojrzał szybko na Adelaidę.

Adelaida nic nie odrzekła, nawet wyrazem twarzy na to nie odpowiedziała.

— Przecież kobiety mają dobre przeczucie — mówiła dalej Olga — ja nigdy ani na chwilę nie wątpiłam, że mnie kochasz!

— Inaczej być nie mogło — odparł półgłosem Edmund.

Służąca zawezwała teraz Olgę.

Olga wyszła z pokoju.

Adelaida oparła głowę o poręcz kozetki i rzekła do Edmunda:

— Nie zasłużyłeś na miłość tej kobiety. Ona cię kocha całą duszą, i wierzyła w twoję miłość wzajemną wtedy, gdy ty o niej ani nie myślałeś...

— Czuje to i pracuje nad sobą teraz, abym stał się godnym takiej miłości — odparł Edmund z głową spuszczoną.

Adelaida uśmiechnęła się z ironią.

— Tacy wy dzisiaj wszyscy jesteście — rzekła po chwili milczenia — kobieta nigdy nie wie, co kocha; kocha, bo kochać musi! W jednę rzecz tylko wierzę, która mnie uspokaja. Wierzę, że kochany taką miłością, jaką cię Olga kocha, musisz wyszlachetnić aż do wysokości jej uczucia, a wtedy staniesz się rzeczywiście jej godnym, zostawiwszy bez jej świadomości za sobą wiele rzeczy, które były niegodne takiego człowieka, jakiego kochała Olga!

Edmund spuścił głowę do ziemi.

— Będę się starał na taką miłość zasłużyć, — ozwał się pocichu.

— Chcąc nie chcąc musisz to zrobić — odpowiedziała Adelaida — bo kobieta kocha dla tego, aby ten, któ-

rego kocha, był szczęśliwy. A widok tego szczęścia jest jej szczęściem!

Edmund milczał.

— Kobieta kocha — mówiła Adelaida — nawet kocha wtedy, gdy wszyscy widzą, że się łudzi... a takie nasze szczęście jest dzisiaj prawie jedynem szczęściem kobiecem!

— A jakież jest twoje szczęście, kochana kuzynko?

— Nie każda kobieta ma jednakie szczęście — odpowiedziała smutno Adelaida — moje szczęście zależy dzisiaj na tem, aby nie zmieniać nazwiska, które noszę obecnie.

Powstała z kozetki i przeszła się powoli po pokoju.

Zdawało się, że wkoło niej była aureola jakiejś nowej arystokracyi...

Olga wróciła teraz do pokoju.

Edmund milczał zamyślony.

— Mówiliśmy o przeczuciu kobiety — ozwała się wesoło Olga — prawda Edmundzie, żem dobrze przeczuwała, żeś mnie zawsze kochał, zawsze o mnie marzył?...

Edmund poczuł na ramieniu małą ciepłą rączkę.

— Zawsze cię kochać będę, i nigdy nie przestanę — odpowiedział z błagalnem wejrzeniem na Adelaidę.

Adelaida uśmiechnęła się, wzięła Olgę za rękę i rzekła:

— W dzisiejszym wieku materyi, giełdy i zbytków, jeżeli kobieta chce być kochaną, to musi sama kochać bez granic, kochać całą duszą, a wtedy w ogniu takiej miłości stopi się i przerodzi każdy, choćby nawet takiej miłości mniej godny mężczyzna!... Pojmujesz to Olgo?.... To jest jedyne nasze szczęście kobiece!... O Edmunda nie potrzebujesz się już obawiać. Od chwili, w której stanie się przez zbieg okoliczności twoim, będzie nim rzeczywiście.

Olga nie dosłyszała kilku słówek z tego, co Adelaida powiedziała, to też nie miała powodu do odpowiedzi.

Ale Edmund usłyszał je. Zbliżył się do Olgi, usunął się do jej nóg, a całując jej małą rączkę szepnął jej:

— Twoim na zawsze!

— Czemuż mi to mówisz? — odrzekła Olga ściskając go tą rączką — wszak to wiem już od roku!

— Tak... wiesz od roku! — powtórzył Edmund z wyrazem na twarzy, jakby czuł w sumieniu wielką zgryzotę.

Szczęściem dla Olgi, że tego wyrazu nie widziała na twarzy Edmunda, bo było już ciemno.

Czasem nie widzieć, należy także do szczęścia kobiecego — pomyślała sobie Adelaida i zadzwoniła na służącego, aby lampę zapalił.

— Prawda, od roku? — szeptała Olga, chcąc jeszcze z szarej godziny skorzystać.

— Od roku! — odszepnął Edmund.

Zdawało się, że w tej chwili Olga więcej nachyliła się ku niemu...

Gdy służący wszedł z lampą, siedzieli zdala od siebie.

Olga grała na cytrze, Adelaida przechadzała się po pokoju, a Edmund oparty o stół, słuchał gry Olgi.

* *
*

Na tem kończy się nasza powieść. Reszty łatwo domyślą się czytelnicy.

O ślubie Edmunda z Olgą przez kilka tygodni żywo rozprawiono. Były głosy przyjaźne i nieprzyjaźne, jak to zwykle bywa. Jedni żałowali go, że w ten sposób dał się oszołomić, drudzy ją żałowali, że wyszła za człowieka tak chwiejnego. Pierwsi byli tego zdania, że po niejakim czasie o tem, co teraz raziło, zapomnieć będzie można; drudzy wierzyli, że szlachetna miłość Olgi oczyści go z wad jego, i zrobi z niego człowieka zacnego i dla społeczeństwa pożytecznego.

Przyszłość — mówiono — okaże, kto miał słuszność.

Zgadnijcie!

Adelaida dobrze i uczciwie tymczasem wyrozumowała sobie szczęście swoje.

Dopięła celu; wszystkie plotki złych ludzi i fałszywa opinia odpadły od jej szat jak błoto wysuszone, a ci, co na nią najwięcej tem błotem rzucali, byli teraz zmuszeni do szacunku i czci, jaką otoczyła się przez swoje postępowanie. Że cały swój majątek dla Olgi i Edmunda przeznaczyła, o tem nie wszyscy wiedzieli, a najmniej Olga.

Stary Burski tylko zrazu martwił się, że mu córkę znowu wydarto. Ale jakoś powoli, przy uprzejmości tych, co go teraz otaczali, przyzwyczaił się do nowej sytuacyi, a nawet tak daleko w nowej roli swojej postąpił, że umiał doskonale wymyślać na służbę, a wszystkich ekonomów w czambuł nazywał chamami i złodziejami!

Prostemu człowiekowi wydawało się, że tym sposobem tworzy wkoło siebie atmosferę pańską, arystokratyczną.

Na tej drodze nawet zaszedł tak daleko, że już dzisiaj bez czwórki i karety nigdzie nie jedzie, za granicą wystawnie żyje, i służbę hotelową grubo opłaca za tytuł hrabiego.

Olga i Edmund próbowali kilka razy dać mu inne wyobrażenia o arystokracyi, ale stary Burski wziął już na kieł i słuchać ich nie chce.

Smutno tylko, że tę karykaturę arystokracyi nazwali koroniarze u wód zagranicznych: hrabią galicyjskim.

Krzywcza nad Sanem, w sierpniu 1872.

ZADUSZKI.

Idąc z sobą, — smutniejszą wiedliśmy rozmowę,
Niż zwyczajnie z rumianych twoich ust się zrywa.
Przyczyną były może te twarze surowe,
Któremi do cmentarza droga była żywa;
Może wilgotny oddech spóźnionej jesieni
Chuchający na twoje źrenice ogniste;
Może to niebo zmrokiem już wieczornym mgliste
Z tajemną łuną jakichś dalekich płomieni...
I droga była smutna: ulica wąziutka,
Długa — jak katakumby kurytarz podziemny,
Po bokach mur gdzieniegdzie, — starych domów, — ciemny;
Gdzieniegdzie suchotnicza akacya ogródka,
Odarta z liścia, — chudem skrzypiąca ramieniem
Za wschodnim, ostrym wiatrem... Dość, żeśmy mówili,
Jak Kartuzy — o strasznej, ostatecznej chwili,
O życiu — co jest jako czarny dym z płomieniem
I kędyś się dopiero w czysty blask przesili;
I o waszym zegarze, na którego twarzy
Srebrnej, czarno mistrzowie wypisali starzy
Rozpaczliwą przestrogę — w której powiązali:
Pęd czasu... Wieczność... Boga i kosę ze stali!... (¹)
O jednych z twych albumów — co zwie się cmentarzem...
Już pełnym prawie, — w który co chwila przybywa,
Jakaś twojej przeszłości znajomość szczęśliwa:
Schwycona z przed kolebki miłej, przed ołtarzem,
Nim jeszcze pierwsze szczęścia złożyła litery!
I że ty masz zaledwie lat dwadzieścia cztery,
I o białej sukience na bal gotowanej,
I o twojej siostrzyczce z twarzą wiecznie bladą,
I... że w białej sukience także w trumnę kładą!...
Aż nam ten smutny temat, — na wszystkie odmiany
Haftami wyobraźni przez oboje tkany —
Upadł wreszcie na myśli dziwnie pociemniałe,
W groźnym kształcie całunu czarnego — w łzy białe!...

Tu zmilkliśmy, bo tłumy wciąż rosły wokoło;
Jak w morze do cmentarza płynął lud rzekami:
Ciemna fala kłębiła się długo — za nami,
W oddaleniu głębokiem tonęło jej czoło;
Szmer cichy... to głośniejszy buchnął i ucichał;
I nie wiem, — czy naprawdę, — czy też nam się zdało,
Że echo jakimś żalem niezwyczajnym drżało,
Że ten miasta horyzont spochmurniał i wzdychał;
Że jeśli głos weselszy w tej żałobie tłumu
Dźwięknął... to wnet się chował ze słowem lub śmiechem
Jak dziecko, co krzyknąwszy wśród pustego Tumu,
Drży, strwożone świątyni uroczystem echem...

I myśmy szli milcząco, czując, że ta chwila
Na mgnienie chociaż Niebo ku Miastu pochyla,

(¹) Stary zegar z dewizą na cyferblacie „Bóg widzi; Czas ucieka, Śmierć goni, Wieczność czeka!

I duszę — zabrudzoną w tym płaskim żywocie,
Gorączkowym, depcącym po złocie i błocie —
Przez cześć duszyczek zmarłych dziś czyści i zmienia:
Płomieniami modlitwy i łzami wspomnienia.

Nocne ptastwo pisało skrzydłem tajne runy
Nad orszakiem, co w bramę sunął się powoli.
Cmentarz płonął od świateł: na krwawem tle łuny
Odcinały się czarne sylwetki topoli,
Palących resztki liści w tem świetle grobowem,
I słychać było łkania, przerywane słowem
Najczulszem, błagającem, — znać z piersi kobiety,
Bo w pieszczotach naiwnych głos grobom się milił —;
Gdzieś znowu, w pośród wonnych wazonów ukryty,
Jakiś głosik malutki zawodził i kwilił;
Westchnienie, jak szum skrzydeł niewidzialnych wiało;
Szept pacierzy... brzmiał cicho, jak piosnka niańczyna;
Białe ciało się krzyżem na darni łamało;
We łzach igrała jasność kagańcowa, sina;
Wiatr kołysał wiankami i świateł płomieniem.

Myśmy szli, smutnem mówiąc do siebie spojrzeniem:
Tu nikogo nie było z naszych — gdzieś daleko
Na obcem cmentarzysku do swoich tęsknili!...
Czuliśmy łez ciężary wielkie pod powieką;
I prawie żeśmy, idąc mimo, zazdrościli
Dwom dziewczynom, co wzięły grób w objęcia żywe,
Znać sieroty — bo miały spojrzenia lękliwe!

Mijaliśmy błyszczące bronzy i marmury,
Troskliwe ręce matek strojące mogiły,
Aż począł się ubogich zakątek ponury...

Na granicy, jak obraz dostatku i siły,
Tem jaskrawszym kontrastem rażący źrenice:
Stał pomnik — znać go możni stawiali dziedzice:
Cztery urny bogate porfirowym głazem,
Napełnione pachnącą żywicą, — rzucały
Na tę noc coraz głębszą — jasność jak dzień biały,
Blask będący kadzidłem i płomieniem razem!

I ten myśmy minęli, i mrok nas pochłonął...
To był cmentarz Ubogich! Czy jeszcze pamiętasz,
Ten promyczek samotny, co nagle zapłonął,
I ciemniejszym uczynił ten tak ciemny cmentarz?
Ten promyczek nas ciągnął... i biegliśmy prawie,
Na kopcach się mogilnych potykając często.
Już zbliska, — spojrzeliśmy przed siebie ciekawie:
Grobek był niski, — krzaki go okryły gęsto;
Na szelest kroków naszych, ktoś zerwał się z ziemi

Trwożliwie i ku miasta stronie pędząc — zginął!
Stanęliśmy: Darń była podeptana świeżo,
Na niej bratek zwiędnięty: dawno się rozwinął;
I pół jabłka — widocznie, że większa połowa;
Obok wetknięta świeczka dymiła łojowa;
Jeszcze drobny ślad stopy pozostał na grobie
Po dziecku, co przed nami, spłoszone, uciekło
Z mniejszą połową jabłka — zostawioną sobie,
I z resztką za spoczynek braterski pacierza!

— Więc myśmy rozerwali to święto przymierza
Duszki sierocej żywej — z tą sierocą zmarłą!
Przed chwilą może grobu łono — z pod tej gliny,
Na mgnienie dla rozmowy braci się rozwarło;
Może po kwiatki, jabłko z pod wilgotnej ziemi
Wyszła rączka wezwana słowy znajomemi,
W zamian niosąc od ojca i matki nowiny...
A teraz głucho znowu, i ta świeczka pała
Blado i niespokojnie — między zwiędłą trawą,
Jak gdyby w niej ta duszka opuszczona drżała,
Żalem i samotności dręczona obawą!... —

Mgłą rozrzewnienia twoje zwilżyło się oko...
I na grób ten spojrzawszy pozbawiony straży
Braterskiej i modlitwy przez nasze zbliżenie,
A potem się wpatrując w cmentarzyska cienie,
Rzekłaś do mnie, ze słodkim uśmiechem na twarzy:
— Zostańmy tu!...

Za nami błyszczały ogniki,
Szmer głosów ludzkich szumiał — a tu było cicho.
My wziąwszy rozbrat z świata rozterką i pychą,
Klękliśmy na mogiłce tej, — wśród gęstwy dzikiej,
I patrząc na pańskiego grobowca płomienie
I na ten czerwonawy płomyczek tu drżący,
Czuliśmy, jak nienawiść wszelka i przeczenie
W harmonią w naszej piersi zmienia się gorącej!...

Tak nas klęczących głębsza coraz noc zchodziła,
Wreszcze ostatnim błyskiem zapłonęła świeca
I zagasła... A wyszła jasna twarz księżyca
I czarne włosy twoje hojnie ośrebrzyła..:
Gwar ucichł... Światła gasły... wracaliśmy w ciszy,
Czując, że nam duch jakiś wdzięczny towarzyszy,
I pogodne uśmiechy mieniając co chwili...
Jak gdybyśmy coś — Bogu miłego — zrobili!,..

1872. WŁ. ORDON.

List ze ślizgawki.

Było to 10. grudnia 1873. Zmęczony i znudzony monotonną biórową robotą, z głową ciężką wróciłem do domu, a odpocząwszy trochę, postanowiłem porzucić nieznośne mury miejskie i pójść świeżem odetchnąć powietrzem. Czas był przecudny. Słońce w całej okazałości złotemi promieniami oświecało śniegiem przyprószone góry, i zdawało się pocieszać zaspałą i osieroconą z zieloności ziemię, skostniałe i pozbawione liści drzewa. Smutne myśli, które każdemu nasuwają się z początkiem zimy, przerwał mi nieustanny ruch powozów i dorożek, które raz za razem przesuwały się po drodze, wioząc wesołe twarzyczki pań i panów różnego wieku.

Z początku nie wiedziałem, co znaczą liczne powozy w jednym dążące kierunku, wkrótce jednak kilku z młodzieży, obarczonych lśniącemi do słońca łyżwami, zaspokoiło mą ciekawość.

Wiele słyszałem już o ślizgawkach, i mnogich wypadkach wynikających z tej zabawy, dotąd jednak nie miałem ani razu sposobności, przypatrzeć się zblizka temu szaleństwu. Z ciekawością przeto podążyłem w kierunku powozów. Wkrótce znalazłem się nad stawem Panieńskim i osłupiałem ze zdziwienia. Brzegi jego, przedtem nierówne i poobrywane, obcięte były porządnie, po brzegach liczne i fantastyczne chorągiewki wesołych kolorów i wyborne ławki w kształcie trybuny, gustowny domek podzielony na loże, piękna budka dla kasyera i druga dla muzyki, cukiernia i garderoba. Naokoło stawu porządne sztachety i poręcze.

Staw zamarznięty i oczyszczony, podobnym był do olbrzymiego zwierciadła, w którem z kokieteryą przeglądało się słońce. Mnóstwo osób obojga płci w fantastycznych ubraniach przesuwało się lotem strzały po tej błyszczącej szybie. Rozglądając się coraz dokładniej spostrzegłem, o dziwo! mego przełożonego biórowego, kilku dobrze szpakowatych współpracowników, kilka znajomych dam, co gorsza nawet znanego mi lekarza, człowieka poważnego i dość otyłego. Zdziwiłem się bardzo, jak ludzie w takim wieku, z tak poważnem stanowiskiem, zupełnie pełnoletnie kobiety, matki dzieciom etc. mogą tak niebacznej a tak śliskiej oddawać się rozrywce, za którą za mych studenckich czasów tylu z moich kolegów zamykano do kozy, a których pan dyrektor Klemensiewicz bez ogródki nazywał nygusami i próżniakami. O tempora! o mores! zawołałam z Ciceronem, i zgorszony już chciałem uciekać, gdy w tem spostrzegłem wspomnianego właśnie lekarza, który odpiąwszy łyżwy i obwijając sta-

rannie w futro spocone członki, ku drzwiczkom wychodowym kroki swe kierował. Zbliżyłem się ku niemu, a ponieważ także do domu wracać postanowiłem, ofiarowałem mu się za towarzysza, na co z uprzejmością przystał.

Po drodze wcząłem z nim dysputę, wyrzucając mu, że jeśli kto, to lekarz nie powinien dawać złego przykładu publiczności, narażając się sam na utratę zdrowia, a przynajmniej na złamanie ręki lub nogi. Wysłuchał całego jakby o latach straconych — jakby o kapitale zmarnowanym wśród mnogiej i różnorodnej pracy, która ani dla głowy ani dla serca żadnej nie przynosi korzyści, w której bezużytecznie zużywają się najdzielniejsze siły nietylko moralne ale nawet i fizyczne, o wynikającej ztąd karłowatości cielesnej i umysłowej obecnego pokolenia. Dowodził mi potem, że pessymistyczne zapatrywanie się na obecne wychowanie młodzieży nie jest wcale owocem



Na ślizgawce.

(Obacz stron. 392)

mego rozumowania i opowiadania różnych i okropnych wypadków, znanych mi z gazet, a skoro spostrzegł, że przedmiot wyczerpnąłem należycie, zaczął systematycznie zbijać mię punkt po punkcie.

Powstawał on gorąco i z żółcią przypomniał mi nieszczęsny system naukowy, któremu młodzież bez wyjątku poddawać się musi; z żalem wspominał swą młodość przepędzoną na ławkach szkolnych, mówił o niej śledziennictwa, wiecznie się skarzącego i niezadowolnionego, ale że ludzie najzdrowsi na ciele i umyśle, a przytem ożywieni duchem postępu, wszyscy bez wyjątku zwrócili uwagę na to pole nowej potrzebujące uprawy. Liczny zastęp pedagogów zajął się tym przedmiotem. Dzieła treści tej, we wszystkich pisane językach, wszystkie dążą do wskazania nowego systemu nauczania, tj. do połączenia ćwiczeń ducha z ćwiczeniami cielesnemi. Stare łacińskie

przysłowie: mens sana in corpore sano, stało się ogólnem hasłem tych zasłużonych ludzi; a nikt już dziś nie wątpi, że tylko zdrowy organizm, zdrowe ciało zdrowego utrzymuje ducha, że zdrowie duchowe zawisłem jest od cielesnego. Ztąd to wszystkie nowsze zakłady wychowacze, idące za duchem postępu, noszą już cechy odmiennego systemu wychowania. Ztąd przy gimnazyach coraz więcej przybywa zakładów gimnastycznych, budynki szkolne coraz lepiej są budowane, wentylowane, odświeżane i zawierają coraz obszerniejsze sale wykładowe.

Po tych ogólnych uwagach towarzysz mój zwrócił się szczegółowo do ślizgawki, szukając jak najdosadniejszych argumentów, by mię o potrzebie ćwiczenia gimnastycznego przekonać. Mówił on mniej więcej w tej treści:

„Dla utrzymania zdrowia koniecznemi są ruch i przebywanie w czystem powietrzu. Zdaje się, że w lecie nie potrzeba nikogo namawiać do przechadzki, bo piękność otaczającej nas przyrody największego nawet domatora wyciąga w pole lub do lasu. Zupełnie inaczej ma się rzecz w zimie, gdyż wiele osób przekłada ciepłą i ciasną izdebkę nad przechadzkę po mroźnem powietrzu, niebacząc, ile na tem traci zdrowie, nie uwzględniając zgubnego wpływu, jaki wywiera prędzej czy poźniej na płuca powietrze zamknięte i kwasem węglowem przepełnione. Ślizgawka już jako rozrywka, odstręczająca od tego zgubnego zwyczaju, jako jedyna sposobność urozmaicenia jednostajnego życia zimowego, za rzecz zbawienną dla zdrowia uznaną być musi. Ileż to już słyszałem osób, które poznawszy przyjemność połączoną z łyżwowaniem tak pokochały zimę, że wiosnę i lato uznały za najnudniejsze pory roku, a przechadzając się pośród kwitnących wiecznie tych samych drzew i krzewów ogrodu jezuickiego, i wiecznie tych samych skrzywionych przed i po krachu fizyonomij, wzdychają i z niecierpliwością wyczekują mrozów i zamarznięcia naszego stawu.

Zbawienny wpływ, który wywiera łyżwowanie na zdrowie ludzkie, najwybitniej oddziaływa na system mięśniowy. Przy tem ćwiczeniu gimnastycznem wszystkie niemal mięśnie znajdują się w ruchu. Częste używanie mięśni sprowadza wzrost ich i rozwój siły, nadając przytem ciału wiele wdzięku i zręczności. Bieg na łyżwach zręcznie wykonywany podobnym jest do lotu jaskółki, która nie poruszając skrzydłami przecudowne zatacza linie, przechylając się to w prawą to w lewą stronę. Jak pięknym jest widok ślizgawki napełnionej zręcznemi łyżwiarzami, dowodzą tysiące widzów, otaczających każdą wiekszą ślizgawkę.

Ślizganie się na łyżwach dostarcza znakomitej sposobności do wyćwiczenia zręczności i piękności ruchów. Pomijając ciągłe balansowanie na gładkiej szybie lodowej, nie jest wcale rzeczą łatwą, omijać z szybkością ptaka setki osób, przebywać swobodnie najwęższą drogę i w przelocie podać dłoń towarzyszce tracącej równowagę, co i na ziemi nieraz jest bardzo trudnem zadaniem.

Jazda ta działa także korzystnie na sprawę oddychania, ćwicząc mięśnie oddechowe, tj. mięśnie, za pośrednictwem których klatka piersiowa zwęża się i rozszerza. Przez oddychanie pełną piersią czyste i w kwasoród obfitujące powietrze dostaje się do najdrobniejszych oskrzelów, a ztamtąd do pęcherzyków płucnych; ztąd silniejsza wymiana gazów, ztąd łatwiejszem i obfitszem ukwasorodnienie krwi, której własności odżywcze znakomitego doznają ulepszenia. Nie twierdzę przez to, żeby płuca chore łatwo skutkiem ślizgania się miały być uzdrowione; ale płuca, których rozwój wstrzymany został skutkiem wadliwej budowy klatki piersiowej, lub skutkiem zajęć połączonych z nachylaniem się nad książkami, papierami szyciem, haftwaniem etc., niezawodnie doznają wzmocnienia. Nieforemna budowa klatki piersiowej należy dziś do zjawisk nadzwyczaj częstych, i jest następstwem krzywicy czyli choroby angielskiej — choroby, której ślady nosi dziś na sobie prawie całe pokolenie. Ztąd wynika potrzeba coraz powszechniejszego, coraz skrzętniejszego ćwiczenia gimnastycznego.

Energiczny ruch mięśni oddechowych, pociągający za sobą głębsze i pełniejsze oddychanie, ułatwia w dalszem następstwie krążenie krwi. To głębokie oddychanie w połączeniu z pracą mięśni, tj. z kurczem takowych, ujednostajnia krążenie krwi nawet w częściach ciała najdalej od serca położonych. Krew krążąc szybko, szybko także przyjmuje pierwiastki odżywcze, które następnie z macierzyńską troskliwością rozdziela wszystkim częściom ciała, wzmacniając wszystkie jego tkaniny.

Szczególniej wybitnym jest ten zbawienny wpływ na cały narząd nerwowy, na mózg, którego władze orzeźwiają się, odświeżają i wzmacniają; — umysł staje się swobodniejszym, wytrwalszym na moralną pracę, humor weselszym. Mózg nasz, podobnie jak inne narządy ciała, potrzebuje wypoczynku, swobody — rozrywki. Jazda na łyżwach znakomicie odpowiada temu celowi. Bo czyż może pozostać bez wpływu na umysł widok pięknej i iskrzącej się posadzki kryształowej, widok pięknej okolicy, okrytej śnieżnemi kwiatami mrozu? Czyż świeże, czyste powietrze, które wydziela orzeźwiający balsam, nie napełnia nas uczuciem wzmacniającego się zdrowia i sił? Czyż pierś każda nie zabije silniej na widok słońca, kryjącego się w mgle przeźroczystej, lub odbijającego się w wierzchołkach drzew, ubranych miliardami iskrzących się śnieżnych brylantów? Czyż nie doznaje się błogiego uczucia na przecudny widok księżyca, wymykającego się nieśmiało z za chmurki, na miliony gwiazd tonących w głębinach błękitu? Nie dziw więc, że jazda na lodzie napawała poetów radością i szczęściem, — dodając świeżego polotu

myślom, świeżej dzielności wyobraźni. Nie jeden hypochondryk zapomniałby w krótkim czasie o swych cierpieniach, gdyby się nauczył ślizgać na łyżwach. Nie jeden cierpiący na bezsenność witałby z radością Morfeusza, który porzuciwszy etykietę, przychodziłby regularnie co wieczora. Nie jedno wybladłe dziewczę odzyskałoby czerstwą, rumianą cerę, albo pozbyło się migreny i innych nerwowych cierpień, których najobfitszem źródłem jest niedokrewkość i blednica.

Ćwiczenie gimnastyczne na lodzie jak każde inne wzmacnia działalność narzędu trawienia, czego najlepszą illustracyą jest każdy pilny łyżwiarz siedzący przy zastawionym stole. Polepszenie trawienia jest następstwem pobudzonego krążenia krwi; ciało potrzebuje wynagrodzić materyał utracony przez spotęgowany ruch mięśni, a spożywane pokarmy łatwiej i prędzej assymilują się.

Oddawanie się przeto łyżwowaniu z należytem umiarkowaniem i ostrożnością nietylko nie przynosi żadnej szkody zdrowiu, ale przeciwnie udziela ciału, a zatem i duchowi siły, świeżości i czerstwości. Szkodliwem tylko może ono być u osób dotkniętych jakąś cięžką chorobą płuc i serca, np. u osób skłonnych do przewłocznego zapalenia płuc, zwanych pospolicie suchotnikami, u osób dotkniętych rozedmę płuc, lub podczas silnego kataru płuc. Potrzeba przeto, by osoby słabowite, zapadające często na kaszel, albo też te, które przebyły przedtem jakąś chorobę płucną lub serca, zanim zdecydują się używać ślizgawki, wprzód radziły się lekarza; podobnie jak się to dzieje w każdym lepszym zakładzie gimnastycznym, gdzie przed rozpoczęciem ćwiczeń odbywa się staranne badanie przez lekarza zakładowego każdego ucznia, mającego rozpoczynać naukę gimnastyki.

Korzyści wynikające z ćwiczeń gimnastycznych poznały dobrze narody przodujące w cywilizacyi, gdzie zrozumiano dokładnie, że ciało i duch w najściślejszym ze sobą pozostają związku i wzajemnie na siebie oddziaływują. To też oddawna istnieją w Anglii kluby łyżwiarzy, mające stałe prawa i statuty. Klub londyński tak dalece zjednał sobie powszechne uznanie u ponurych dzieci Albionu, że książę Albert, mąż królowej Wiktoryi, nie wahał się stanąć na jego czele".

Wszystkie te uwagi szanownego doktora przedstawiły mi sprawę w innym zupełnie świetle; a ponieważ jestem zgryźliwej natury, często mam słaby żołądek etc., słowem, skutkiem codziennego ślęczenia w ciasnem biórze różnych doznaję dolegliwości, przeto zacząłem myśleć na seryo, czyby i dla mnie łyżwowanie nie było korzystnem. Wszystko, com usłyszał od mego towarzysza, było tak ugruntowane, każde zdanie umiał tak silnie popierać argumentami czerpanemi z poważnego i sumiennego studyum medycyny, że zacząłem wątpić o zasadach, których poprzednio byłem zwolennikiem. Powróciwszy do miasta weszliśmy do hotelu europejskiego, by się posilić po dość długiej przechadzce. Lecz jakież było moje zdziwienie, gdym zobaczył kochanego doktora, który jakby na dowód prawdziwości słów poprzednich zawijał i zmiatał bez miłosierdzia jeden talerz po drugim, delektując się każdą prostą i pożywną potrawą, jak smakosz starym węgrzynem lub truflami. Przykład ten wywarł na mnie wpływ stanowczy. Wstąpiłem więc nazajutrz do towarzystwa łyżwiarzy, i tegoż samego dnia już byłem na lodzie; a po dziesięciodniowej próbie mogłem już samodzielnie stawiać kroki. Zaraz w pierwszych dniach mozolnej nieco nauki przyznałem się sam sobie, że wszystkie uwagi szanownego doktora były najzupełniej słuszne i prawdziwe. Brak apetytu, ociężałość, znużenie umysłowe, częsta bezsenność i bole głowy, które przedtem często mię prześladowały, zupełnie prawie znikły. Mam teraz lepszy humor, lepszy apetyt, z większą odwagą i chęcią zasiadam do monotonnej biórowej łataniny, i przesiaduję bezpiecznie w powietrzu ciemnem od dymu z fajek, gdyż ślizgawka popołudniowa odwietrza mię i odświeża. Dziś z zaciętego przeciwnika ślizgawki, przeszedłem do przeciwnego obozu, a doznawszy błogich jej skutków, poczuwam się do obowiązku, jak najgoręcej instytucyą łyżwiarzy poprzeć publicznem wystąpieniem.

Dr. B.

DUCH KOMORNIKA.

(Z notatek urzędnika Towarzystwa zabezpieczenia.)

Przed kilkunastu laty, gdym zaledwie wstąpił do bióra jeneralnej ajencyi jednego z zagranicznych Towarzystw zabezpieczenia w K., i mało miał jeszcze doświadczenia w tych sprawach, zgłosił się do nas niejaki pan Wilhelm S. z zamiarem zabezpieczenia swego życia. Byłto człowiek młody, od niedawna dopiero żonaty, i o ile wiadomo nam było, utrzymywał w poblizkiem mieście obwodowem rodzaj pokątnego bióra adwokackiego i zwany był powszechnie komornikiem. Był zdrów, silnie zbudowany, i ktokolwiek spojrzał na niego, musiał mu wróżyć przynajmniej sto lat życia.

Gdy dziś zabezpieczanie życia należy do rzeczy całkiem zwyczajnych, gdyż każdy prawie urzędnik, każdy ojciec rodziny, żyjący z własnego zarobku, stara się tym

sposobem zabezpieczyć los swojej familii, byłoto wówczas rzadkim jeszcze wypadkiem, by człowiek młody, silny i zdrowy, nie znaglony do tego żadną koniecznością, z własnego popędu wpadł na myśl zabezpieczenia swego życia. Zachowaliśmy przeto jak największą ostrożność, zaleciliśmy lekarzowi naszemu jak najściślejsze zbadanie pana komornika, i zadawaliśmy mu sami mnóstwo mniej więcej podstępnych pytań.

Lekarz oświadczył, że pan S. niespożytego jest zdrowia, i może żyć bardzo długo. Także nasz egzamin wypadł w sposób zupełnie zadowalniający.

„Jestem żonaty, — mówił, — i mogę spodziewać się familli, a nie mam żadnego majątku; źródłem mego dochodu jest tylko moja praca, więc w razie mojej śmierci pozostałyby żona i dzieci bez żadnego utrzymania. Wyznaję panom otwarcie, że wydatek na zabezpieczenie nie będzie łatwym dla mnie; ale uważam za święty obowiązek, ponieść tę ofiarę i odmówić raczej sobie niejednej wygody, byle nie dręczyła mnie obawa o los tych, za których spokojność i szczęście jestem odpowiedzialnym.“

Przyznaliśmy mu naturalnie słuszność i chwaliliśmy postanowienie jego jako wielce rozsądne i godne naśladowania, i gdy pożegnał nas z policą na 10000 złotych, sądziliśmy wszyscy, że zrobiliśmy doskonały interes, bo człowiek ten przeżyje z pewnością nas wszystkich.

Można tedy wyobrazić sobie przerażenie całego bióra naszego, gdy po upływie najwięcej ośmiu dni dyrektor nasz, czytając gazetę przy swojem biórku, zerwał się nagle i zawołał:

— A, do krocset!... Panowie, czy ów pan S., który przed ośmiu dniami zabezpieczył u nas swe życie na 10000 złotych, nie mieszkał w T.? Czy nie było mu na imię „Wilhelm“? Czy nie miał on 32 lat?

— Tak jest — odpowiedział huhalter.

— Cóż się z nim stało? — spytał obecny również lekarz.

— Umarł! — rzekł dyrektor — umarł!

— Czy wypadek na kolei? — zawołałem.

— Może zamordowany? — spytał korespondent.

— Otruty, — rzekł lekarz; — z pewnością struła go żona, by zagarnąć zabezpieczoną sumę.

— Nie — westchnął dyrektor. — Umarł na porażenie serca.

— To nieprawda, ja temu nie wierzę! — krzyczał lekarz. — Człowiek ten był zdrów jak tur, tacy ludzie nie umierają na porażenie serca. Wtem musi być coś innego. Jedźmy tam!

Wniosek ten został natychmiast przyjęty, i najbliższym pociągiem odjechaliśmy, ja, jeden z moich kolegów i lekarz do T. Szanowny uczeń Eskulapa nie mógł się uspokoić; oświadczył, że zażąda koniecznie sekcyonowania trupa, i utrzymywał z taką pewnością, iż znajdzie truciznę w żołądku, że musieliśmy się śmiać, chociaż wcale nie było nam do śmiechu. Stracić 10.000 złotych za tydzień, to nie bagatela!

Przybywszy do T., udaliśmy się natychmiast do domu, który wskazano nam jako pomieszkanie komornika. Przyjął nas tam jakiś jegomość, nadzwyczajnie podobny do nieboszczyka, tylko wyglądał o wiele starzej, niż on, miał długą, ciemną i nieco szpakowatą już brodę, nosił niebieskie okulary i kulał tak mocno, że tylko przy pomocy kuli i laski mógł się poruszać. Gdyśmy mu oznajmili, kto jesteśmy i w jakiej sprawie przybywamy, zdawał się być tak dalece owładnięty żalem, że prawie przez dziesięć minut nie odejmował chustki od twarzy i nie był w stanie się opamiętać.

Potem przedstawił się nam jako brat zmarłego i oświadczył oraz, że był lekarzem wojskowym, że w ostatniej kampanii przy opatrywaniu rannych na pobojowisku kula przestrzeliła mu nogę, i że natężająca praca ściągnęła mu słabość oczu, która zmusza go teraz używać szkieł niebieskich.

— Tak, tak, — dodał w końcu, — ktoby był pomyślał, że ja, biedny kaleka, na nic już nieprzydatny na tym świecie, przeżyję mego brata, który był w kwiecie wieku, i wyglądał jak samo zdrowie. Siedzieliśmy w najlepszym humorze razem przy śniadaniu. Naraz stawia on filiżankę, chwyta się z jękiem za serce, opada na poręcz krzesła, i już było po nim. Moja biedna bratowa nie może przyjść do siebie po tem nieszczęściu.

Pytaliśmy się, czy nie moglibyśmy widzieć ciała.

— Jakto? więc panowie nie wiecie, że już wczoraj odbył się pogrzeb? — zapytał całkiem zdziwiony.

Odpowiedzieliśmy, że nie wiemy.

— Którego lekarza wzywałeś pan? — spytał doktor.

— Lekarza? — odparł doktor pułkowy widocznie urażony. — Po cóż innego, kiedy ja byłem? Próbowałem na nim wszelkich środków, na jakie zdobyć się może sztuka ludzka, i gdy umarł, napisałem mu kartę śmiertelną. Czy chcecie panowie odwiedzić grób jego?

Chcieliśmy przedewszystkiem rozmówić się z wdową, która nie posiadała się z żalu, ale przecież przyjęła nas. I od niej jednak nie dowiedzieliśmy się żadnych nowych szczegółów, i wszelkie inne dopytywania się były również bezskuteczne.

Pogrzeb odbył się przy wielkim udziale publiczności, ksiądz odprowadzał zwłoki, i nie zaszło przytem nic szczególnego.

Nigdzie nie można było znaleźć punktu oparcia do wytoczenia procesu, a jednak powracając do domu postanowiliśmy odmówić — jeśli będzie można — wypłacenia owych 10.000 złotych. Ale zamiar ten okazał się niepo-

dobnym do wykonania; mimo to zwlekaliśmy sprawę ile możności, a w końcu ugodziliśmy się z wdową, że przystała na połowę tej sumy.

Wypadek ten sprawił wielkie wrażenie i wywołał bardzo niemiłą polemikę w dziennikach. Lekarz pułkowy nazwał nas poprostu łupieżcami wdów i sierót, i muszę wyznać, że sprawa ta była bardzo przykrą dla mnie. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia, i gdyby było zależało to odemnie, byłbym wdowie całą sumę wypłacił.

Wreszcie ucichła wrzawa dziennikarska, i uważaliśmy rzecz całą za skończoną, gdy pewnego dnia znajdujemy dyrektora w jego kantorze bez przytomności na ziemi. Otrzeźwiliśmy go przy pomocy przywołanego lekarza, i gdy cokolwiek przyszedł do siebie, opowiedział nam następujący dziwny wypadek.

Pozostał on, gdy wszyscy urzędnicy poszli na obiad, sam jeden w biórze, i spożywał swoję małą przekąskę, przyniesioną z domu, ponieważ właściwy obiad jadał zwykle dopiero po zamknięciu pracy biórowej. Naraz słyszy za sobą jakiś ponury głos grobowy, wymawiający pewną sentencyą biblijną, której nie mógł sobie już przypomnąć, ale która odnosiła się do wdów i sierót. Obrócił się więc przestraszony: — tuż obok jego krzesła stał owinięty w całun grobowy zmarły komornik S., ale na twarzy wyglądał zupełnie tak, jak w owym dniu, gdy przyszedł do bióra zabezpieczyć swoje życie.

Mimo przerażenia miał dyrektor przecież tyle jeszcze przytomności umysłu, że zapytał go, czego żąda.

„Drugiej połowy dziesięciu tysięcy złotych dla mojej wdowy!“ — zawołało widmo tak okropnym głosem i z postawą tak groźną, że dyrektorowi zastygła krew w żyłach, i padł omdlały na ziemię.

Z początku nie chcieliśmy mu wierzyć. Ale niedługo potem nadszedł lekarz z wyznaniem, że takie samo widmo nawiedziło go wieczorem w jego gabinecie naukowym. W kilka dni potem ukazało się memu koledze w ciemnym korytarzu, odzywając się zawsze z tem samem żądaniem:

„Drugiej połowy dziesięciu tysięcy złotych dla mojej wdowy!“

Dyrektor, który najbardziej sprzeciwiał się wypłaceniu policy, oświadczył teraz, że potrzeba dopłacić wdowie jeszcze pięć tysięcy złotych, gdyż inaczej widmo na śmierć go zamęczy. My zaś wszyscy inni sprzeciwialiśmy się temu. Doktor oświadczył, że nie boi się nawet szatana, i jeżeli widmu komornika sprawia to przyjemność, może odwiedzać go ile razy zechce. Mój kolega gotów był wmówić w siebie, że stał się ofiarą optycznego złudzenia, wywołanego opowiadaniem drugich; a ja nakoniec, który dotąd wcale ducha nie widziałem, uważałem całą tę historyą za niedorzeczność. Wkrótce jednakże miałem się namacalnie o tem przekonać.

Pewnego wieczora wracałem z bióra do mego pomieszkania. Skręcając na rogu ulicy, w której znajdowało się moje pomieszkanie, ujrzałem nagle przed sobą postać, która zdawała się wyrastać z ziemi i zastąpiła mi drogę. Nie była ona owinięta w całun grobowy, lecz miała na sobie ciemny, aż do stóp sięgający surdut dziwnego kroju. Blask księżyca oblewał całą postać i oświecał twarz śmiertelnej bladości, w której jednak poznałem rysy zmarłego komornika.

Przez chwilę stałem jak przykuty, nie byłem w stanie ani ruszyć się, ani słowa wyrzec. Widmo podniosło groźnie rękę ku mnie i zawołało;

„Oddaj mej wdowie, co się jej należy!“

Wyznaję, że mnie to przeraziło; ale mam ten szczególny zwyczaj, że gdy mię co przestraszy, nie uciekam przed tem, lecz instynktowo idę wprost na to. I tą razą przystąpiłem do widma i chwyciłem je za surdut.

Duch zniknął za domem narożnym, ale pozostawił w mojem ręku guzik. Czy w krainie duchów istnieją guziki czy nie, pozostawiam rozstrzygnięcie tej kwestyi spirytystom; mojem zdaniem jednak nie mógł ten guzik pochodzić ztamtąd, zwłaszcza iż był zanadto brudny i wytarty.

Zabrałem ten guzik do bióra i pokazywałem go z miną tryumfującą. Dyrektor tak był znękany, że i to jeszcze nie zdołało odwieść go od wiary w zjawianie się ducha; ale kolega mój zawołał radośnie:

— Teraz już rzecz jasna, jak słońce! To brat komornika, ów lekarz wojskowy, odgrywa rolę ducha, by tym sposobem wymódz na nas jeszcze pięć tysięcy złotych.

Lekarz, któremu objawiliśmy ten domysł, nie podzielał naszego zdania.

— To niepodobna — rzekł; — przecież duch nie miał kuli.

— A zkądże pan wiesz, czy jemu wogóle potrzeba kuli, czy ta chromota nie była tylko oszukaństwem? — zapytał kolega. — Ja nie ręczyłbym za to — dodał — że cały ten braciszek był tylko udanym; łotra tego można teraz o wszystko posądzać.

— Przyjacielu, — zawołałem — ty masz wielki rozum! To nasuwa mi pewną myśl... Posłuchajcie mego planu!

W wykonaniu tego planu, na który wszyscy się zgodzili, pojechaliśmy do T. i rozpoczęli nanowo ścisłe badania. Pokazało się tedy, że nikt nie widział trupa, i nikt nie był w izbie, w której miał umrzeć komornik. Lekarz oświadczył, że nie dozwoli obcej ręce dotknąć się brata, że sam go ubierze i położy do trumny. Także ksiądz przyszedł dopiero wtedy, gdy trumna była już zabita, i nikt z całego orszaku pogrzebowego nie widział umarłego.

— Arszenik — rzekł doktor — morderstwo!

Ja myślałem co innego, ale nie zwierzałem się nikomu, prócz koledze memu, i udawałem zresztą, że podzielam zdanie doktora. Udaliśmy się do sądu i żądaliśmy,

ażeby dla naglącego podejrzenia morderstwa odkopano zwłoki zmarłego komornika S. Całe miasto było zaalarmowane; tworzyły się stronnictwa i w obronie wdowy i przeciw niej, i gotowano się powszechnie na ciekawy proces trucicielstwa.

Nie przyszło jednak do tego. Gdy otworzono trumnę, nie znaleźliśmy arszeniku w trupie, z tej prostej przyczyny, iż wcale nie było w niej trupa. Była ona napełniona kamieniami i słomą, i nie podlegało żadnej wątpliwości, że mieliśmy do czynienia z oszustwem, którego ofiarą stało się nasze towarzystwo zabezpieczenia.

Owym mniemanym bratem nie był nikt inny, tylko sam komornik, który za pomocą fałszywej brody, niebieskich okularów i kuli zmienił się do niepoznania. Gdyby nie ociąganie się nasze, byłby nas oszukał o całą sumę 10.000 złotych, a tak straciliśmy tylko połowę; gdyśmy bowiem chcieli złowić ptaszka, zastaliśmy już tylko próżne gniazdo. Oderwany guzik przeraził go zapewne tak dalece, że znikł wraz z ukochaną małżonką, i nie słyszeliśmy już o nim nigdy więcej.

Orsza.

Zeschłe listki.

Zeschłe listki! wiecznież mi będziecie
Przypominać owo świeże kwiecie,
Co z jej ręki — drobnej, śnieżnie białej,
Otrzymałem w znak pamięci stałej!

O, pamiętam jak i gdzie to było:
Kościół smętny — ołtarz, co mogiłą
Zdał się, i świec nad jej głową łuna,
I mnich, co niósł w ustach coś z pioruna.

Zeschłe listki! świeżem kwieciem wtedy
Byłyście: kamelii i rezedy —
Czuję, jak was brałem z ręki drżącej,
Na ołtarza stopniach tej klęczącej!

I spojrzały drużki jej po sobie,
Ona zaś: „Ja sama dziś ozdobię
Kwiatem pańską pierś, nasz przyjacielu...“
Mnich coś wtrącił... Piłem na weselu!

Zeschłe listki! wiecznież mi będziecie
Przypominać owo świeże kwiecie,
Co z jej ręki — ach, tak śnieżnie białej,
Otrzymałem w znak — pamięci stałej!

Br. K.

ROCZNICE HISTORYCZNE.

Grudzień.

Szereg rocznic historycznych, przypadających na ten miesiąc, musimy zacząć od niezbyt świetnej rocznicy śmierci Bolesława Wstydliwego, która przypada na dzień 7 grudnia. Jest temu lat blisko sześćset, bo było to w roku 1279, kiedy syn Leszka Białego skończył długie swoje panowanie, chociaż nie długi żywot. Nie należała ta epoka do najszczęśliwszych dla Polski, gdyż król objąwszy rządy jako dziecię, nie był w możności uspienia wewnętrznych niepokojów. W poźniejszym wieku nie nabył Bolesław tej siły charakteru i sprężystości, jaka potrzebna jest ze strony władcy, aby poskromić zwaśnione żywioły, które wówczas zaburzały wewnętrzny pokój Polski.

Od śmierci Bolesława Wstydliwego nie napotykamy w dziejach ojczystych ważnej, przypadającej na ten miesiąc rocznicy, aż do koronacyi Aleksandra, która się odbyła w Krakowie 12. grudnia 1501. Tem rozpoczęło się owo krótkie panowanie, zakończone już po pięciu latach świetnem zwycięztwem nad Tatarami pod Kleckiem.

Brat Aleksandra, Zygmunt I, który dał początek najświetniejszej epoce w dziejach Polski, został obrany królem także w tym miesiącu d. 8. grudnia 1506. Historycy powiadają, że Polacy obrali królem Zygmunta przez zazdrość, nie chcąc pozostawić Litwinom pierwszeństwa, którzy ich ubiegli w obwołaniu Zygmunta następcą wcześnie zgasłego brata. Piękna to była zazdrość, bo przynosiła równie zaszczyt obranemu królowi, jakoteż i obydwom narodom. Byłoto tylko zgodne współubieganie się Polski i Litwy o ustalenie związku obydwoch narodów przez wybór wspólnego panującego, związku tak szczęśliwie poczętego przez powołanie na tron Jagiełły. Jakkolwiek stan kraju nie był zbyt świetny, to jednakże jaśniała jeszcze gwiazda szczęścia nad Polską, a mądrość, oszczędność i dzielność Zygmunta I. podniosła jej byt do tego stopnia, że słusznie wiek ten Zygmuntowski nazwano złotym.

Nie tak pomyślnej chwili dla Polski rocznicą jest ta, która nam zachowuje pamięć objęcia rządów przez *Stefana Batorego*.

Dzień 12. grudnia 1575. jest jednym z tych, które cechują peryod pojagielloński dziejów Polski. Walki o tron polski rozlicznych kandydatów i tworzenie się stronnictw

w narodzie, które zamiast konsolidować wewnętrzną potęgę, polegały na mocarstwach obcych, sprowadziło odtąd już Polskę na pochyłość, która wkońcu spowodowała zupełny upadek.

Po dezercyi królewskiej Henryka Walezego, jedynego podobno tego rodzaju przykładu w całych dziejach rodu ludzkiego, zaczęła ponownie sąsiednia Austrya ubiegać się o tron polski; dwóch arcyksiążąt rywalizowało w tej sprawie, a trzecim poniewolnym kandydatem był sam cesarz Maxymilian II.

Nazywamy go kandydatem poniewolnym, bo sam nie ubiegał się o polską koronę, ale stronnictwo, które upatrywało interes swój w połączeniu Polski z cesarstwem węzłami wspólnego władztwa, popierało wielce Maxymiliana II.

Stronnictwo Jagiellonów, uznające słusznie w tej dynastyi najsilniejszą Polski podporę, pamiętne świetności, jaką ojczyźnie ten ród zjednał, i korzyści, jakie z połączenia coraz ściślejszego obu narodów, Polski i Litwy, dla obydwóch wyniknęły i dalej wynikać mogło, pragnęło zachować ród ten przy dzierżeniu berła Polski. Gdy zaś męzkie potomstwo Jagiełły wygasło z Zygmuntem Augustem, więc pragnęło to stronnictwo przez powołanie żeńskiego potomka na tron zachować dla tegoż tradycyjne znaczenie szczęścia. Ale znaczna, a nawet większa część duchowieństwa wyższego była za związkiem z Austryą, i tylko arcybiskupia stolica lwowska popierała cele narodowego stronnictwa.

Ztąd poszło, że dwóch książąt kościoła ogłosiło prawie równocześnie dwóch różnych kandydatów, jako przez naród wezwanych do objęcia tronu.

D. 12. grudnia 1575, gdy zgody nie było na elekcyi, i duchowieństwo pragnęło mieć cesarza niemieckiego królem, część szlachty albo którego z arcyksiążąt austryackich albo Piasta, część zaś pod przewództwem Jana Zamojskiego bezwarunkowo Piasta, mianował Prymas Uchański, ustąpiwszy z pola elekcyi, królem cesarza Maxymiliana, a Marszałek wielki koronny, Jędrzej Opaliński, ogłosił elekta. Postępek ten niezgodny z konstytucyami i prawami narodu zraził tak dalece nawet zwolenników domu austryackiego, że połączyli się z rycerstwem, które pod przewodnictwem Jana Zamojskiego pragnęło wyboru Piasta; a gdy w tem trudności znajdowali, bo ci, co się zdawali najodpowiedniejszymi kandydatami: Jan Kostka Wda. Sandomirski i Jan Tenczyński Wda. Bełski, wyboru przyjąć nie chcieli, zgodzili się na Annę Jagiellonkę, której, aby męzką mieć głowę na tronie, przeznaczono za męża Stefana Batorego.

Wskutek tego już we dwa dni po zamianowaniu cesarza Maxymiliana II. królem przez prymasa Uchańskiego, została przez arcybiskupa lwowskiego Jana Sienińskiego wyniesioną na tron Anna Jagiellonka, a Stefan Batory, Wojewoda Siedmiogrodzki, naznaczony jej na męża, mianowany królem polskim d. 14. grudnia 1575.

Dał więc dzień ten Polsce jednego z najdzielniejszych królów, który mając tak mądrego doradcę, jakim był Jan Zamojski, posiadał i wolę i warunki potemu, aby zreformować organizm Rzeczypospolitej, w którym już kiełkowały zarody przyszłego upadku; ale już wtedy stanęła krewkość społecznego ustroju zbawiennym króla zamiarom na przeszkodzie.

Ten sam miesiąc, a nawet ten sam dzień, który nam przypomina wejście tego króla na tron, jest oraz rocznicą jego śmierci. Wprawdzie został Batory d. 14. grudnia 1575. obwołany królem, ale głównym powodem tego aktu było zamianowanie królem przez inną partyą, która jakkolwiek można, była przecież w mniejszości, Maxymiliana II. na d. 12. grudnia 1575.

Po jedenastoletnich rządach, którym Polska wiele zbawiennych urządzeń zawdzięcza, właśnie gdy zamyślał potęgę Rzpltej rozszerzyć przez wyprawę ponowną na Moskwę, zmarł król Stefan d. 12. grudnia 1586 w Grodnie.

Od dnia tego datuje się epoka coraz chyższego chylenia się Polski ku upadkowi, i słusznie jeden z historyków powiedział, że z nim *„znikła szczęśliwość ojczyzny i przewaga narodu na północy.“*

W rok po śmierci Stefana Batorego, po ukojeniu rozterek bezkrólewia i po świetnem zwycięztwie Jana Zamojskiego nad kuszącym się o tron polski, a przez silne Zborowskich stronictwo popieranym Maxymilianem II, otworzyła się Zygmuntowi Wazie, urodzonemu z Jagiellonki, droga do koronacyi, która się odbyła w Krakowie dnia 22. grudnia 1587.

Miesiąc ten więc inaugurował w Polsce panowanie Wazów, nacechowane już mnóstwem znamion zepsucia wewnętrznego, a oraz również połowicznem przywiązaniem tych królów do Polski, jak połowicznym był ich związek krwi z Jagiellonami, bo tylko *„po kądzieli“* pochodzili z tego rodu, a pochodzenie *„po mieczu„* nadawało im zawsze pochop do oglądania się na tron szwedzki.

W rodzinie Wazów polskich przypadał na miesiąc grudzień jak początek tak i koniec ich kolei. Koronacyi Zygmunta III datę przytoczyliśmy już. Jan Kazimierz, ostatni z Wazów, ustąpiwszy z tronu, na którym nawet nie umiał sobie zjednać należytej powagi, zmarł w obczyźnie *(w St. Germain)* d. 16. grudnia 1672.

Za czasów panowania Zygmunta III. przypada jednakże jeszcze kilka ważnych rocznic na grudzień, dla tego musimy wrócić do tej epoki.

Dzień 8. grudnia jest pamiątkowym dniem zdobycia *Wolmaru;* zwycięztwo pod Wolmarem *(albo Wolmirzem)* samo ze siebie nie było zbyt ważnem dla Polski, ale pod względem następstw, jakie miało, należy mu przypisać



Z albumu A. Grottgera.

PASTUSZKOWIE.

Rysował K. Młodnicki.

niemałą doniosłość. Był to jeden z epizodow toczącej się wówczas wojny sukcesyjnej między Zygmuntem III a Karolem Księciem Sudermańskim o tron szwedzki. Szwedzi najechali Inflanty i pozajmowali warowne miejsca. Jednem z takich był Wolmar. Jan Zamojski złożył tu dowody, że również dobrym był wodzem jak politykiem, i w krótkim czasie wyparł Szwedów z Inflant. Byłby on niezawodnie i Estonią zajął, gdyby brak poparcia ze strony króla i stanów nie był go zmusił do usunięcia się od dowództwa. Zajął miejsce jego godny następca, Chodkiewicz, który cudami waleczności i wojowniczej zręczności poskramiał Szwedów.

Z epoki smutnej pamięci rządów Jana Kazimierza, gdy Szwedzi całą prawie Polskę najechali i postępy Karola Gustawa zagrażały jej popadnięciem pod władzę króla szwedzkiego, zapisujemy dzień 25. grudnia 1655 jako ostatni dzień bohaterskiej obrony Częstochowy. Była to chwila zwrotna, od której zaczęła się skuteczna walka przeciwko Szwedom.

D. 29. grudnia 1655 zawiązała się konfederacya Tyszowiecka, która skupiła w sobie najcelniejszych dostojników Polski, wszelkie wojsko i szlachtę, aby wyratować ojczyznę od najazdu Szwedów.

Nie mamy w następnych latach żadnej ważniejszej grudniowej rocznicy do zapisania, aż do rocznicy powrotu króla Jana III. z odsieczy pod Wiedniem. Wiekopomna ta wyprawa tylokrotnie i tak wyczerpująco już opisana, a wreszcie i pod względem politycznym już dziś osądzona jako wielce niefortunna, chociaż dodała sławie Polski blasku na wieki, skończyła się, gdy zazdrość austryacka zaczęła się objawiać, nawet jeszcze nim w zupełności cel odsieczy osiągniętym został. Jeszcze Węgry nie były zupełnie uwolnione od Turków, czego Jan III. przynajmniej na północy dokonać zamierzał, gdy go intrygi dworzan austryackich skłoniły do powrotu.

Dnia 23. grudnia 1683 odbył król Jan III. swój wjazd do Krakowa.

Z ostatnich przedrozbiorowych czasów mamy do zapisania rocznicę otwarcia sejmu koronacyjnego d. 3. grudnia 1764, którym rozpoczęły się nieszczęśliwe rządy Stanisława Augusta, pod laską Marszałka Jacka Małachowskiego, który w dziejach rozbiorowych odegrał jednę z najpiękniejszych ról. Złowrogi to był sejm, na którym już rządy pruski i moskiewski domagały się *rozgraniczenia między Polską a Moskwą.*

W obydwóch ostatnich rozbiorach odznacza się miesiąc grudzień dniami żałobnemi. Dnia 22. grudnia 1793. skończył się sejm Grodzieński, który oby się nigdy nie był zaczynał i nie dopełniał nigdy haniebnej pamięci czynów, uświęcających drugi podział Polski. Nie po sejmie tym, ale po matkobójczym czynie jego przywdziać nam należy w tym dniu żałobę.

Podobnież przypada na dzień 25 grudnia 1795 ukaz moskiewski, którym ostatni cios dokonany został, bo oderwał on Litwę od Polski, poczem nastąpiło zajęcie Warszawy przez Prusaków a Krakowa przez Austryaków.

Miesiąc ten zatem, a szczególnie ostatnie jego dni są dla nas rocznicami żałoby.

Kronika literacka i artystyczna.

Drezno w styczniu 1874.

(Smutny obraz stosunków społecznych. — Wydawnictwa Kraju: Chrobacya Tad. Wojciechowskiego. Korespondencya Branickiego. Fizyologia Lewesa. Powieści Dzieduszyckiego. Gawędy Berlicza Sasa. — Poezye M. Bałuckiego. — Dodadek do Gazety Lwowskiej. — Władysław Biały Kościelskiego. — Wydawnictwa warszawskie. Zbiorowe tłumaczenie Shapespeara. — Kalendarz A. Nowoleckiego. — Polonia, rzeźba Kaz. Ostrowskiego.)

Złowrogi r. 1873 skończony. — W ostatnich dniach wprawdzie przyniósł nam jeszcze sporą wiązkę książek, jak gdyby nas tem chciał za swe winy i grzechy przebłagać... lecz jakkolwiek szacowny to dowód jakiegoś duchowego życia, nie starczy ono za wszystko, czego nam coraz bardziej braknie. To życie duchowe, jestto resztka siły rzutu przeszłości; teraźniejszość by go nam nie dała, gdyż siły żadnej nie ma w sobie, negacyą jest, wywrotem i kłamem. Smutno jest rzec prawdę, lecz fałszem nie pokryjemy jej przed przyszłością... wszędzie upadek, wywrót, skandal, a z niemi połączony gorszy nad wszystko cynizm. W Poznańskiem resztki życia dobił Tellus i świeżo *Anthiteza* tego obrzydliwego i sprośnego pisma, które śmie się katolickiem nazywać. Około trupa kłócą się pijani grabarze. Lepiejże jest w Galilei czy Gaskonii, jak się ją i jej język nazwać tam u was urzędownie podobało? Porównajcie charakter, ducha, stan wasz z tem, co było, gdy było bardzo źle, a przekonacie się, że dziś jeszcze gorzej. Naówczas złe szło z zewnątrz, dziś idzie z nas samych, z niemocy i zepsucia wewnętrznego. Dziennikarstwo, literatura, życie niby polityczne i społeczne, stosunek żywiołów naród składających, pojedyńczy ludzie... przypatrzcie się, jak dziś wyglądają. Brudne łachmany i karczemna wrzawa... Tam gdzie nam dano choć trochę swobody, na cośmy jej użyli? — obrachujcie. Tam, gdzie wszelka niemal swoboda odjęta, w rosyjskim zaborze, moralny stan stokroć lepszy... tam jest choć tyle życia, że o niem nie możemy wątpić; w Poznańskiem i u was, ostatki jego tarzają się w błocie. Nie przesadzam, niestety! Dość przypomnieć Tellus i waszę polemikę dziennikarską, która jest tylko choroby wewnętrznej wyrzutem naskórnym... Tem

się rok skończył stary, począł nowy. Nieprzyjaciele nasi więcej by życzyć nie mogli, to też przyklaskują *szwindlowi* Tellusa, i *Antithezę* skwapliwie tłumaczą, i czynnościom Galicyi dają bravo-bravissimo.

Odrobina życia schroniła się między suche papieru kartki. I tu fenomenalne, osłupiające znajdujemy fakty. Literatura żyje tam, gdzieśmy ją mieli za umarłą, a dogorywa, gdzie żyćby miała prawo i środki. Pod rosyjskiem panowaniem zdrowo się rozwija piśmiennictwo, w Galicyi nędznie, w Poznańskiem, które niegdyś królowało, jeden człowiek walczy z apatyą ogólną, i złamany zdaje się on nawet ręce opuszczać. *Nec Hercules contra plures.* Klika, co urodziła anthitezy, nie potrzebuje książek, faryzeuszowską modlitwą i tellusowemi sprawy zajęta. Obrzydliwości!..

Odwróćmy myśl, oczy i pamięć od tego obrazu ohydnego... pocieszmy się resztkami życia... Biorę bez wyboru pierwszą książkę, jaka mi wpada pod rękę. Szczęśliwym trafem jest to jedno z wydatnictw *Kraju*, na które już poważniejsza krytyka zwróciła oczy: *Chrobacya* p. Tadeusza Wojciechowskiego. Gdyby przed ukazaniem się tej znakomitej, bo nową metodą natchnionej pracy, nie drukował pan Feliks Zieliński swych, choć ułamkowych ale wielce znaczących studyów, w których już tej samej metody zarysy znajdujemy, zasługa p. Wojciechowskiego większą by była jeszcze. Nie ujmuje to jej wszakże, bo autor Chrobacyi na daleko szerszą skalę i systematyczniej rzecz prowadzi. Wnioski, które same przez się z poszukiwań jego wytryskują, są rzeczywiście zdumiewające, jasne i nie ulegają najmniejszej wątpliwości. Nieznane nam dotąd fazy w tworzeniu się społeczeństwa polskiego odkrywają się tu i wskazują, jak powierzchownie dotąd niestety znaliśmy epoki, o których tu mowa. Jest to zaczątek historyi wewnętrznej kraju, obudzający najżywsze zajęcie.

Mając do zwalczenia niezmierne trudności i idąc drogą nie torowaną, którą przed nim zaledwie się przesunął nieco Roeppel i p. Feliks Zieliński, autor potrzebował swe stanowisko, metodę, środki, jakich używa, wyłożyć czytelnikom. Ta część dzieła, niezbędna wprawdzie, mogłaby jeszcze treściwiej może być ujętą. Tomu drugiego oczekiwać pewnie będą wszyscy z niecierpliwością. Jest to jedna z tych książek historycznych, która posuwa naszę wiedzę przeszłości choć cokolwiek poza mgliste mroki, jakiemi znaczniejsza część jest osłonioną, i wkracza w dotąd nietknięte obszary. Wydatnictwo *Kraju* przysłużyło się, nie szukając z tego ani rozgłosu ani chluby, kilku bardzo ciekawemi i dobremi książkami. Przypomnimy tylko Korespondencyą Branickiego, Lewesa Fizyologią codziennego życia w tłumaczeniu Masłowskiego, Dzieduszyckiego powieści, Gawędy Berlicza Sasa i tp.

O niektórych z tych wydań, gdyby czas i miejsce, należałoby się obszerniej rozgadać. Ale tyle jeszcze rzeczy leży przed nami. Pominęliśmy Poezye Bałuckiego, w swoim rodzaju bardzo oryginalne, bardzo godne większego rozgłosu, bliższego poznania. Jest w nich prawda, jest charakter własny, jest piętno wieku i życia. Autor, tak szczęśliwy na polu dramatycznem, gdzie jedno z najpierwszych miejsc zajmuje, jako powieściopisarz niemniej się odznaczający, jest wreszcie śpiewakiem teraźniejszości sympatycznym. Na nieszczęście w waszej Gaskonii (ponieważ się ona tak w języku urządzonym nazywa), gdyby co najlepszego wyszło, w zastygłej atmosferze tej niepostrzeżone przymarznie do ziemi makulaturą. Pisma peryodyczne codziennie więcej się zaprzątują skandalami niż literaturą, a *Przeglądy* przeglądają niekoniecznie wszystko, i są poza granicami koteryj, którym służą, zupełnie nieznane. Przegląd polski i lwowski rozchodzą się w liczbie szczupłej między *adeptów*. Nie ma więc pisma prawie, coby mogło oznajmić, polecić, pogłaskać lub połajać, a przecie przemówić coś o wychodzących na świat książkach. Niezmiernie rzadko ukazuje się artykuł, gdzie go się nikt nie spodziewa, i przesuwa niepostrzeżony. Mało kto wie naprzykład o wybornym *Dodatku do Gazety Lwowskiej*, który zupełnie *incognito* przędzie nić pożytecznie rozpoczętego żywota.

W Poznaniu cisza. Jeden z dramatów, o którym zaszczytną wzmiankę uczynił konkurs ostatni, *Władysław Biały* Kościelskiego, wyszedł tam niedawno. Autor jest wielce utalentowanym poetą, a taki początek wiele po nim obiecywać sobie każe. Wiersz bardzo piękny, ustępy są szczęśliwe, tylko sam przedmiot nie wiele ma uroku. Poważny to poemat, chociaż nie wiemy, czyby się nadał na scenę. — Żupański nieco odpoczywa. Trudno goręcej niż on posuwać wydawnictwa w takich jak dzisiejsze warunkach. Szkoda wielce, że raz się pamiętniki Niemcewicza dokończyć nie mogą, że zapowiedziane hr. Engeströma leżą także rozpoczęte i niewydane, ba wiele innych muszą czekać szczęśliwszych czasów.

W Warszawie oprócz Zygm. Kaczkowskiego powieści u Ungra, oprócz Biblioteki Lewentala, rozpoczętej od Dziewicy Orleańskiej Libelta, Słowackiego i Jana z Tęczyna, przygotowuje się wiele nowości. Dzięki spółce księgarzy warszawskich, mieć przecież raz będziemy choć zbiorowe tłumaczenie całego Shakespeara. Wejdą do niego prawdopodobnie znane już przekłady St. Koźmiana (nie krakowskiego ale poznańskiego, autora: Do mistrzów słowa i przyjaciela Zygmunta), Hołowińskiego, Paszkowskiego, Korzeniowskiego i innych. Niemcy już mają trzy takie zbiorowe pełne przekłady, my dotąd żadnego. Francyi przysłużył się znakomitym Shakespearem świeżo zmarły Franciszek Wiktor Hugo, syn wielkiego poety (którego w Krakowie *psem* nazwali uczeni dobrze wychowani). Chcielibyśmy słowo nawet powiedzieć o Kalendarzach — nie znając warszawskich, Ungra i Jaworskiego, które stoją *hors ligne.* Cóż to za rzecz poczciwa i na dzisiejsze czasy *Antithez* i Stańczyków miłe czyniąca wrażenie, ten kalendarz A. Nowoleckiego! Jak od niego wieje duchem przeszłości i ostatnich szlachetnych naszych tradycyj, na które dziś plują wielcy ludzie nasi!

Kalendarz ten nie tylko w Rosyi będzie zakazanym, ale przez wszystkich braci i siostry Antithezy... w pobożnem księstwie Poznańskiem, gdzie patryotyzm jest antithezą religii, w konserwatywnym Krakowie, gdzie panują Goliany i... *nomina sunt odiosa.* Kościuszko, Kiliński, Pułascy, Kołłątaj, Rejtan, Potoccy Ignacy i Stanisław, Sołtyk, Małachowski... straszne imiona wyklętych. My je witamy ze czcią i łzą w oku, bo nam ich ks. Stagraczyński, Golian, Koźmian i tutti quanti nie zastąpią, choćby ich nawet kanonizowano. Posłużywszy się nimi Niemcy i Rosyanie, rzucą potem z pogardą na dziejowe śmie-

cisko. — Widzicie żem zły — nie! ale oczadziałem od swędu poznańskiej *antithezy*.

Doszły nas tu fotografie pięknej kompozycyi p. Kazimierza Wit. Ostrowskiego, jego grupa Polski.

Wiecznie jak pomnik Twojego gniewu
Sterczy ku tobie błagalna dłoń...

Wiecznie młoda, z tą dłonią podniesioną, śliczna Polska w nieśmiertelnej krasie życia... wspaniale wygląda i pociesza po *antithezach* nikczemnych. Niech ona przyświeca początkowi 1874 r. i będzie zwiastunką odrodzenia na duchu; niech opadną te brudne łachmany, któremi ją obrzucono... niech wstanie nam promienistym aniołem nadziei lepszej przyszłości!...

I. J. Kraszewski.

Lwów, w styczniu 1874.

(Karnawał lwowski. — Odczyty towarzystwa pedagogicznego. — Koncerta p. Józefa Wieniawskiego. — Wieczorki Towarzystwa muzycznego. – Opera. — Stosunki teatralne. — Konkurs dramatyczny.)

Wypada zacząć od karnawału, w którego środku już stoimy; pole to u nas jednak dziwnie jałowe czegoś w tym roku. Mimowolnie przychodzi na myśl czas zapustny r. 1864, tak głucho teraz w salonach lwowskich. Objaw ten jednak w owym czasie pamiętnym, aż nadto wyraźną miał przyczynę w stanie społeczeństwa... Dziś, przyczyny tej szukać należy chyba w niezbadanych wyrokach Fortuny, które spadły w roku 1873 klęską na tych, licznych niestety jej wyznawców, którzy zbyt ślepo jej zaufali. Czy stracimy co na tem, że karnawał bieżący przejdzie w nie tak ochoczych podskokach jak innemi laty? Podobno jak najmniej.

Z tego, cośmy powiedzieli na wstępie, nie należy jednak wcale wyciągać wniosku, jakoby Lwów po desperacku powiedział sobie na te zapusty wielkie: *pase!* — i oddał się natomiast rozpamiętywaniu zwodniczych uśmiechów Fortuny. Przeciwnie, Lwów bawi się aż do samej środy popielcowej, a tylko nie w owem przyspieszonem *tempie*, jak zazwyczaj, i z mniejszą wystawnością. I tak n. p. zamiast tradycyjnych dwunastu balów maskowych, odbędzie się w tym roku tylko trzy; z innych zaś balów publicznych, o ile nam wiadomo, zapowiedziane są tylko: akademicki, technicki i Towarzystwa muzycznego; i wieczorki w resursach mniej są częste. Aby ochota na tych zabawach miała być także mniejszą niż kiedykolwiek, żadną miarą tego powiedzieć nie można; kto wie nawet, czy owo pewne umiarkowanie, odznaczające bieżący sezon karnawałowy, nie podnosi owszem szczerej, pewnej siebie ochoty u tych, którzy mniej tym razem poświęcają jej czasu i — grosza.

W przeciwieństwie też do innych lat liczniej zato w te zapusty garnie się publiczność do teatru, na konerta i odczyty. Ostatnie po przerwie świątecznej podjęte nanowo o programie o tyle różnym od podanego na tem miejscu dawniej, że na czwartki przybył odczyt p. Józefa Tretiaka „O Cydzie“, na miejsce zaś ukończonego już odczytu sobotniego prof. Józefa Żulińskiego „O świecie kopalnym“, wstąpił odczyt Dra. Tadeusza Żulińskiego „Fizyologia czynności odżywczych człowieka.“ Wogóle prelekcye te w sezonie bieżącym budzą wielkie zajęcie, co zaszczytnie świadczy o publiczności lwowskiej.

Równie żywego ze strony publiczności udziału doznały trzy koncerta znakomitego pianisty i kompozytora, Józefa Wieniawskiego, dane w tym czasie. O grze wirtuoza tak ustalonej sławy, jak p. J. Wieniawski, oddawna dochodziły nas echa europejskiego rozgłosu; mieliśmy teraz sposobność przekonać się, że rozgłos ten wcale nie był przesadnym. Technika zarówno jak deklamacya w grze artysty tego nosi znamiona mistrzowstwa pierwszego rzędu. Utwory zwłaszcza, w których przeważa pierwiastek energii, męzkości, „tumy akordowe“ wznosić umie p. J. Wieniawski jako niezrównany w tym rodzaju architekt, a jeśli na punkcie uczucia ustępuje innym wirtuozom swego instrumentu, stylem bardzo wielu prześciga. Taż sama wyższość cechuje także kompozycye p. Wieniawskiego, których kilka dał nam poznać.

Z powodu ruchu wyborczego, jaki od kilku tygodni panuje w naszem mieście, wieczory Towarzystwa muzycznego zacząć się mają dopiero pod koniec bieżącego miesiąca, i nie będą tak częste jak innemi laty. Miłośnicy muzyki mogą to sobie jednak wynagrodzić na operze, która od miesiąca goszcząc panią Dowiakowską, primadonnę opery warszawskiej, a od dwóch tygodni pana Cieślewskiego, pięknym obecnie darzyć ich może repertoarzem. Ostatnie przedstawienia „Marty“ Flotowa, „Żydówki“ Halevyego, w których udział brali goszczący artyści warszawscy, były jubileuszowemi w rocznicach naszej młodej opery.

W teatrze stan prowizoryczny trwa ciągle i trwać będzie, dopóki się nie zbierze walne zgromadzenie akcyonaryuszy, które jedynie ostatecznie orzec może co do dalszego przedsiębiorstwa sceny. Dyrekcya dramatu tymczasem w dobrem porozumieniu z dyrekcyą opery dokłada widocznie starań, aby postawić scenę na odpowiedniej stopie. Sejm na ostatniej sesyi swej udzielił obu dyrekcyom kilkanaście tysięcy zł. subwencyi, która to okoliczność wnosić pozwala, że i pod względem materyalnem przedsiębiorstwo przewali teraz niejednę górę, która w innym razie zagradzałaby rozwojowi artystycznej strony zakładu.

Na konkurs dramatyczny nadesłano ogółem 33 sztuk. Od miesiąca już blisko dwie podkomisye pracują nad wybrakowaniem tego olbrzymiego materyału, poczem uznane za kwalifikujące się do nagrody sztuki odczytane będą w pełnej komisyi.

B. K.

Ze świata.

[Obyczaje Fantów]. Mieszkańcy Złotego wybrzeża w Afryce odznaczają się różnemi zwyczajami i obyczajami, o których niejeden z czytelników naszych pewno jeszcze nie słyszał. A ponieważ angielska wyprawa wojenna zwróciła teraz uwagę świata na zachodnio-afrykańskie plemiona, przeto nie od rzeczy będzie przytoczyć tu niektóre z najciekawszych obyczajów tamtejszych.

Dla całej ludności mężkiej i żeńskiej nie ma tam innych imion, prócz siedmiu mężkich i żeńskich nazw tygodnia, tak że wszystkie urodzone w niedzielę dziewczęta nazywają się

Accusuach, a chłopcy Kwassie, co po naszemu znaczyłoby niedzielnica i niedzielnik; inne dzieci otrzymują imię od poniedziałku, inne od wtorku itd. A ponieważ wybór ten jest bardzo szczupły, więc uciekają się Fantowie do przezwisk, i tak np. mężczyzna urodzony w niedzielę, jeżeli jest otyłym, nie nazywa się już pojedyńczo Kwassie, lecz Kwassie Kutumfu t. j. *gruby* i tp. Na szczęście dowcip ludzki nie jest w kłopocie co do przezwisk, i przeto radzą sobie jakoś Fantowie z swoim siedmioimiennym kalendarzem. Okropnym zwyczajem na Złotym wybrzeżu jest zastawianie ludzi. Rodzice zastawiają swoje dzieci, mężowie żony, żony mężów z taką samą obojętnością, jak np. u nas zastawia się zegarek. Gdy umrze zastawiony człowiek, przywiązują trupa wysoko do gałęzi drzewa, na które nie może się dostać żadne zwierzę; a ponieważ tamtejsze szczepy wierzą w nieśmiertelność duszy i mają to przekonanie, że nieboszczyk nie może rozpocząć swej wędrówki do krainy wieczności, dopokąd zwłoki jego nie zostaną pogrzebione, dokładają krewni wszelkich starań, by wykupić zastawione ciało. Fanti cieszy się posiadaniem dwóch szatanów, z których jeden, Abonsam, włada w niebie duszami nikczemników, a drugi Sasabonsam, ogromna, podobna do człowieka poczwara o rudych długich włosach, panuje na ziemi i sprzyja czarnoksiężników i czarownicom. Pan Sasabonsam rezyduje w najdzikszych ostępach lasu, i to w pobliżu olbrzymiego drzewa jedwabnego. Zwyczaj odprawiania hucznych styp po pogrzebie panuje tam także i pociąga nieraz za sobą najszkaradniejsze skutki.

[Nietoperz liścionos], mieszkaniec południowej Ameryki i wielki miłośnik świeżej krwi zwierzęcej, jest także postrachem dla tamtejszych mieszkańców, gdyż zakrada się nocą do pomieszkań ludzkich, i gdy natrafi na obnażoną rękę lub nogę spiącego, przyczepia się do niej i ssie z niej krew tak długo, dopokąd się nie nasyci. O podobnym wypadku, który miał się wydarzyć w południowym Teksasie, donosi jeden z dzienników nowojorskich.

Pewna dama, imieniem Ramon Abello, piękna i zamożna wdowa, mieszkająca w willi w pobliżu Palo Alto w Kameron Kounty, czuła się pewnego dnia po długiej przejazdce tak dalece znużoną, że wcześnie z wieczora położyła się w swojej sypialni na sofie, ażeby się cokolwiek przespać; ale ponieważ spodziewała się jeszcze poźniej odwiedzin, więc nakazała swojej pokojówce, ażeby ją zbudziła o pewnej godzinie. Gdy dziewczyna o naznaczonym czasie weszła do sypialni swej pani, przeraził ją widok ogromnego nietoperza, który siedział na ramieniu pani Abello i ssał jej krew, poruszając oraz wielkiemi skrzydłami swemi jakby wachlarzem nad jej twarzą. Dziewczyna miała tyle przytomności, że wyszła pocichu z pokoju, ażeby przywołać lokaja i stangreta pani. Ci uzbroiwszy się w kije, pospieszyli do pokoju. Nietoperz, spłoszony ich wejściem, opuścił swą ofiarę i leciał ku oknu, którego górne skrzydło było otworzone; ale stangret dosięgnął go kijem i silnym razem powalił na ziemię. Pani Abello przebudziła się i przestraszyła niemało, gdy jej opowiedziano, co się z nią działo. Rana, zrobiona przez nietoperza, była zaledwie widoczną, ale wkrótce nastąpiło dość mocne zapalenie, i dopiero po kilku tygodniach zniknął ślad tego skaleczenia. Pani Abello opowiadała, że przez cały ten czas miała najprzyjemniejsze sny i nie czuła najmniejszego bolu. Nietoperz ten miał ośm cali długości, a rozpięte skrzydła zajmowały prawie stopę szerokości.

[Wyrok Salomonowy]. W Illinois wyskocył niedawno z szyn pociąg, i dwóch podróżnych zostało dotkniętych tym wypadkiem: jeden zginął, a drugi utracił nogę. Tak ten jak i wdowa po pierwszym wytoczyli towarzystwu kolei proces o wynagrodzenie szkody. Sąd przysięgłych przyznał wdowie 5000, a temu, który stracił nogę, 15.000 dolarów. To rozgniewało wdowę, i spytała przeto sędziów, dla czego jedna noga ma być trzy razy tyle wartą, co cały człowiek? Sędziowie odrzekli: „To rzecz całkiem naturalna: człowiek, który nie ma nogi, niedostanie nowej nawet za 15.000 dolarów, ale wdowa z 5.000 dolarów znajdzie z łatwością męża, który nietylko będzie nowym, ale może nawet lepszym niż dawny.“

[Mistrz Nasreddin]. Turcy mają także swojego sowizdrzała, któremu nadali poważną nazwę mistrza Nasreddina. Oto niektóre z jego figlów:

Pewnego dnia był on świadkiem, jak złodziej uprzątał wszystko w jego domu. Nie przeszkadzał mu bynajmniej, lecz zebrał resztę i poszedł za złodziejem do jego pomieszkania. — Czego tu chcesz, mistrzu? — spytał złodziej. — Jakto? — odrzekł Nasreddin — alboż nie przeprowadziliśmy się do tego domu?

Kruk ukradł pewnej kobiecie kawał mydła. Kazano mu go ścigać, ale Nasreddin rzekł: — Dajcie mu pokój, on z pewnością potrzebuje bardziej mydło, niż my.

Będąc wielkim miłośnikiem owoców, zakradał on się często do ogrodu swego sąsiada. Ażeby dostać się tam przez wysoki mur, używał do tego długiej drabiny, którą spuszczał potem na drugą stronę i tym sposobem wygodnie złaził. Pewnego dnia złapał go ogrodnik. — Cóż ty robisz w moim ogrodzie, mistrzu Nasreddinie? — Chcę sprzedać tę drabinę. — A czemuż nie wchodzisz drzwiami? — Bo chciałem ci pokazać, jak użyteczną jest drabina. — Tak! — mruknął ogrodnik i kupił drabinę. Nazajutrz był mistrz znowu w ogrodzie i zrywał z przygiętej gałęzi jabłoni najpiękniejsze owoce do worka. Nagle uderzył go sąsiad po ramieniu. — He, mistrzu, jesteś znów w moim ogrodzie! Jakżeż dostałeś się tu bez drabiny? — To istotnie rzecz dziwna — odrzekł mistrz; — ale słuchajno, jak wicher huczy; on to porwał mię w powietrze i przerzucił tutaj. — A cóż robi w twej ręce ta gałąź jabłoni? — Muszę się trzymać, by mię znów wicher nie porwał. — Doprawdy? A zkądże się wzięły jabłka w twoim worku? — I ogrodnik poglądał na mistrza, a mistrz na ogrodnika. — Widzisz — rzekł wreszcie Nasreddin — to właśnie rzecz najdziwniejsza, i gdyś nadchodził, rozmyślałem również nad tem. — Po raz trzeci zastał go nakoniec sąsiad na jabłoni, ale znowu rozbroił gniew jego figlem, który jednak nie da się opowiedzieć.

Pewien znajomy chciał pożyczyć od niego osła. Mistrz rzekł, że osła nie ma w domu; ale w tej samej chwili zaryczał w stajni długouchy. — Jakto? — ozwał się znajomy — mówisz, że osła nie ma w domu, a on ryczy w stajni? — Nasreddin odpowiedział: — Zaprawdę, szczególniejszy człowiek

z ciebie! Osłowi wierzysz, a mnie, sędziwemu starcowi, nie chcesz wierzyć.

Z przytoczonych próbek widzimy tedy, że figlarz ten nie ustępuje wcale naszemu sowizdrzałowi w humorze i dowcipie.

[Do historyi najsławniejszego dyamentu]. Indyanie opowiadają, że sławny w całym świecie dyament, Koh-i-noor czyli „Góra światła“ odkryty został przed 3000 lat w kopalniach Golkondy i pierwotnie znajdował się w posiadaniu króla augańskiego, Kamy. Inne podanie utrzymuje, że kamień ten skradł któremuś królowi Golkondy naczelny wódz jego armii, i około r. 1640 ofiarował w darze Wielkiemu Mogułowi, Szachowi Jehan. Wówczas był to jeszcze surowy dyament, i Szach dał go oszlifować pewnemu jubilerowi, który jednak tak był niezręcznym, że prawie połowę opiłował. Zamiast tedy zapłacić jubilerowi, skazał go rozgniewany Moguł na zapłacenie 10.000 dukatów. Tavernier, turysta francuzki, widział ten brylant przed 200 laty w Indyach i opisuje podziwienie, jakie widok jego powszechnie obudzał. Od tego czasu aż do początku bieżącego stulecia przechodził ten dyament przez rozmaite ręce, nim stał się własnością Chana Kabula. W nikczemny i haniebny sposób uzyskał go Runżet Singh od Chana Kabula. Dowiedziawszy się, że Chan posiada najpiękniejszy i najczystszy dyament, jaki kiedykolwiek widziano, postanowił przywłaszczyć go sobie. Zaprosił tedy Chana na swój dwór; ale ten przewidując zasadzkę, nie wziął ze sobą brylantu. tylko zręczną jego imitacyą. Singh mając go w swojej mocy, zażądał dyamentu, a gdy Chan z udaną niechęcią uczynił zadość temu żądaniu, oddano kamień nadwornemu jubilerowi do oszlifowania. Ten oświadczył jednak nazajutrz, że kamień ów nie ma żadnej wartości, co wprowadziło Singha w taką wściekłość, że zatrzymawszy Chana jako jeńca, kazał zamek jego przetrząsać tak długo, dopokąd nie znaleziono skarbu. Dopomogła zaś do tego zdrada jednego z niewolników Chana, który wskazał kryjówkę dyamentu pod kupą popiołu. Z tryumfem zabrał go wtedy Runżet i przystrajał siebie a niekiedy i konia swego tym klejnotem. Po jego śmierci przeszedł on w ręce jego następców i stał się w r. 1850 łupem Anglików. Przywieziono go statkiem Medea do Anglii i ofiarowano w darze królowej Wiktoryi. Ponieważ pokazało się, że był źle oszlifowany, powierzono go do oszlifowania sławnemu jubilerowi Cosser w Amsterdamie, który musiał poświęcić na to 38 dni, pracując dziennie po 12 godzin. W r. 1862 był ten przecudny kamień na wystawie londyńskiej.

[Testament Anglika. Odludek pewien, Anglik rodem, przybywszy przed kilku laty na zimę do Meranu, przyjął sobie gospodynią domu, której zaraz na wstępie oświadczył, że wymaga od niej bezwzględnej wierności, ona natomiast nie powinna wcale unosić się nadzieją, że kiedyś odziedziczy po nim cokolwiek, czy to złoto lub papiery wartościowe, czy też nieruchomość jaką lub sprzęty, słowem niczege zgoła od niego pożądać nie powinna. W każdą rocznicę przyjęcia do służby tej gospodyni powtarzał jej to samo w sposób bardzo solenny, ona zaś służyła mu w rzeczy samej bardzo wiernie, czego najlepszym dowodem okoliczność, że służyła bez przerwy lat trzydzieści. Ostatniej zimy wybierając się znów do Meranu sporządził testament, o dwóch następujących postanowieniach: „Wszystko, co posiadam, przekazuję psu memu, wiernemu Karo“ „Psa mego, wiernego Karo, wraz ze wszystkiem, co posiada, przekazuję mojej gospodyni.“

[Bal dworski w Honolulu], na wyspach Sandwichskich, tak opisuje w amerykańkim *Timesie* kupiec pewien angielski, który znajdował się tam przypadkowo: Król Lunalilo I. dawał niedawno bal w pałacu swoim, a to na cześć admirała angielskiego. Był to budujący widok, jak król spijał braterstwo z muzykantami i gośćmi, a w końcu pierwszy drzemnął na ławie. Widziałem, jak pewien oficer marynarki z panną dworską rozsiadł się wygodnie na miejscu przeznaczonem dla króla, podczas gdy tenże z żoną swą, Emą, na stopniach u nóg jego zasiadł. Gdy nadeszła pora rozejścia się, król wziął od muzykantów bęben i obchodząc salę bił capstrzyk. Nastąpiła zacięta bójka między podchmielonymi muzykantami, której sam admirał nawet przeszkodzić nie mógł. Tak się skończył ten bal „dworski„! Król wszakże zupełnie był zadowolony z zabawy i ciągle powtarzał, że wybornie się bawi. Król Lunalilo jest zresztą dobrym człowiekiem. Niemców zwłaszcza lubi bardzo, zapewne dla tego, że kiedy był jeszcze następcą tronu, doznawał od nich wiele grzeczności. Ja sam raz pożyczyłem mu „na jeden dzień“ dwa dolary, których dotąd nie widziałem; wielki to biedak ten król Lunalilo, najczęściej grosza nie ma przy duszy.

[Historyczny stolik] pokazują obecnie zwiedzającym zamek w Wilhelmsböhe, miejscu pobytu cesarza Napoleona III. po kapitulacyi Sedańskiej. Całą zresztą osobliwością stolika tego są przypalone cygarami miejsca; zmarły cesarz Francyi bowiem namiętnie palił, zapracowany więc przy stoliku i pogrążony w dumianach odkładał widocznie cygara na kraj płyty mahoniowej, a ztąd te znaki. Po odjeździe cesarza z zamku dano odczyścić meble, stolik w mowie będący pozostawiono jednak nienaruszonym jako pamiątkę po wielkim jeńcu z pod Sedanu. Poźniejsze wieki takiem samem zapewne okiem spoglądać będą na powypalane plamy tego stolika, jakiem zwiedzający dziś zamek w Wartburgu patrzą na poplamiony atramentem stolik, przy którym pracować miał Luter.

[Dzieło poniewolnej cierpliwości] pokazują obecnie w Charlestownie, w Ameryce. Odsiadujący w domu karnym tamtejszym dożywotnie więzienie niejaki Frank Lawry, liczący lat zaledwie 23, wykonał w wolnych chwilach model kilku statków parowych i łodzi z figurkami ludzi i zwierząt w najrozmaitszych postawach, a oprócz tego model cyrku, przepełnionego widzami, a składającego się z 200.175 figurek, w tej liczbie 112 koni. Uzdolniony ten młody człowiek skazany został na taką ciężką karę za zbrodnię morderstwa.

[Pojedynek na świderki] odbyć się miał podług dzienników amerykańskich niedawno pomiędzy dwoma Jankessami, a to tym sposobem, że obaj pojedynkujący się na dane przez sekundantów hasło utopili świdry w deszczułkę przymocowaną na piersi przeciwnika i dopóty je obracali, aż jeden „przewiercony“ padł. Oj, wiercą często, wiercą te amerykańskie dzienniki łatwowiernych czytelników!

[Pogrzeb przez zastępstwo]. Chińczycy mają zwyczaj chowania krewnych tuż obok siebie. Uważają to za nieszczęście dla całej rodziny, jeśli jeden z jej członków nie może być tak pogrzebiony. Od czasu jednak, jak tysiące synów

państwa niebieskiego emigruje do Afryki i Ameryki, zwłaszcza zaś do Kalifornii, wymyślili oni sposób grzebania swych zwłok w ojczystej ziemi przez zastępstwo. Chińczycy plotą sobie jak wiadomo kosę, tę ucinają zmarłemu i w starannem opakowaniu odsyłają do kraju rodzinnego. Tam doznaje ona takiej czci, jakiejby doznał sam zmarły; odbywają nad nią cały ceremoniał pogrzebowy i grzebią przy mowie żałobnej nad grobem.

Nowe książki.

J. Kościelski. Władysław Biały, książę Gniewkowski. Tragedya w pięciu aktach z prologiem. Poznań. U Żupańskiego. 1874.

Już kilka z utworów nadesłanych na zeszłoroczny konkurs krakowski na widok publiczny się pokazało; w najnowszych czasach trzy: „Na Ukrainie“, „Krok“ i „Władysław Biały“, o którym właśnie mowić zamierzamy.

Utwory te ocenione i porównane głośno oskarzają prześwietny trybunał dramatyczny, który na nie wyrok wydał...

Trzy te ostatnie prace jednakiej nagrody się doczekały: *zaszczytnej wzmianki*. Jeżeli nam jednak dziwno było że „Kroka“ i „Na Ukrainie“ tak lekko ważono, tłumaczyliśmy sobie dotąd ten wyrok wyjątkową wartością „Rogniedy“ i mimo, że arcydzieło to dotąd światła kinkietów jeszcze nie oglądało, mimo mroków tajemniczych wokoło niego, półsłówek i szeptów źle uprzedzających — wiara nasza w krakowskie „jury“ na silnych dotąd stała nogach. Dzisiaj jednak pokazanie się na widok publiczny „Władysława Białego“ do gruntu prawie tę wiarę zachwiało. Wspólność bowiem nagrody przypuszcza jednaką wartość „Kroka“ i „Na Ukrainie“ a „Władysława“!

Na tych samych kartach zdawaliśmy niedawno sprawę czytelnikom naszym z tych dwóch pierwszych dzieł. Uczyniliśmy to ledwo w krótkich słowach, na więcej bowiem program rubryki naszej nie pozwalał...

I dziś chcielibyśmy w szerszym zarysie zestawić te trzy prace ze sobą, ażeby ztąd jasno wydobyć rażącą różnicę ich wartości; gdy jednak dawniejsza przeszkoda i na teraz istnieje, poprzestaniemy tylko na krótkim rozbiorze „Władysława“ pewni, że uwaga i sprawiedliwość ogółu rozbudzona tą wzmianką nie omieszka sama ściślejszego porównania uczynić.

Z góry, ażeby określić stanowisko nasze, oświadczamy, że prawda historyczna faktów i ich przebiegu za normę w ocenie tej trajedyi służyć nam nie będzie.

Bierzemy starym estetycznym obyczajem wprost przed siebie fabułę i okażemy jak wygląda.

„Władysław“ złamany burzliwem życiem i bolem po stracie żony, szuka ulgi i zapomnienia w murach dywiońskiego klasztoru; jednak choć pod mniszą sukienką i w tych chłodnych murach — myśl i krew w nim nie stygną... Dumne plany, szlachetne zapędy, rycerskie nawyknienia drzemią w nim tylko, i trzeba jednej iskry z zewnątrz, aby ta mina z dawną potęgą wybuchnęła...

Tą iskrą jest Wiszota z Kurnika. Dawny żołnierz Władysława, zapalony jego partyzant, nienawidzący Węgrów, i pragnący widzieć na tronie Piastów Władysława, zresztą nie bez prywaty, — przebrany za żebraka budzi duszę dzielnego wojownika i w świat na nowe a wielkie hazardy za sobą pociąga. Uciekają obadwa z Dywionu, na to, aby wnet w Gnieźnie przed tronem Ludwikowym stanąć.

Tam Władysław od Ludwika żąda zwrotu dzielnicy swojej: Inowłodza i Gniewkowa... Odepchnięty z lekceważeniem i pychą, umiarkowanie wszelkie odrzuca i już nie w kawał ziemi swojej ale w koronę mierząc, rzuciwszy rękawicę królowi, uchodzi na czele garstki swoich partyzantów. Ci składają się z malkontentów po większej części. Węgierska pycha króla, absolutyzm jego, opuszczenie kraju i zdanie go na kobiece ręce, wreszcie gospodarstwo łupiezkie węgierskiego żołdactwa, aż nadto umysły rozdrażniły.

Na czele tak usposobionych ludzi Władysław bierze zdradą Złotoryą i w zamku tym podstawę przyszłych działań swoich i zamysłów znajduje.

Dotąd tragedya rysuje się i rośnie świetnie, ale w Złotoryi kryje się zarazem zguba Władysława i zguba tragedyi — w postaci pięknej Anny, córki zamkowego puszkarza.

Oboje zapalali dla siebie tajemną miłością.

Ta miłość przyprawia Władysława o upadek. Wprawia go bowiem najprzód w wahanie, radzi mu rzucić cały owoc dotychczasowych tryumfów i szukać jedynego szczęścia na kochanki łonie, rozdrażnia i rozdziela partyzantów jego.

Na chwilę jednak następuje zwrot pomyślny. Kochanka zdobywa się na ofiarę szczytną. Z zaparciem się uczuć własnych wlewa dawny ogień w serce swojego rycerza, i ażeby godnie ukoronować dzieło swoje ucieka przed nim... Władysław chce chwycić znowu za zwątloną nić działania — ale zapóźno!

Pod nim kopie się zdrada. Wylęgła się ona w sercu zdziczałem i rozdrażnionem narzeczonego Anny Wszeboja — dawniej zapalonego zwolennika Władysława, dziś widzącego tylko wroga w szczęśliwszym rywalu. Zdrada ta zaraża także serce ojca Anny, sądzącego, że mścić się hańhy córki powinien...

Ci dwaj chcą zamek wydać oblegającym go wojskom królewskim... przez wystawienie lampy na oknie, jako hasła, i wpuszczenie szturmujących furtką nadbrzeżną.

Na chwilę zamiar ten paraliżuje przenikliwość Władysława i opór Anny.

Ale gdy na stos, przeznaczony dla zdrajcy Wszeboja, rozjadli zwolennicy Władyslawa, mimo jego wiedzy, ojca Anny rzucają; ta za śmierć ojca się mszcząc, daje zdradzieckie hasło.

Zamek wzięty zdradą (dosyć nie jasną), Władysław walczy z dowódzcą królewskim Sędziwojem z Szubina, ale nagle z okrzykiem

„O Boże!“

„Ból dłoń mi zlamał!“ opuszcza ramię, a Sędziwój wytrąca mu miecz z ręki wołając:

„Idź skonać w klasztorze!“

Tem kończy się tragedya a raczej utwór, który mógłby nią być z założenia i materyału, gdyby autor jego był dramaturgiem. Tymczasem jest on wyraźnie i dobitnie poetą lirycznym (przynajmniej w tej pracy) znacznego zresztą talentu, a dzieło to poematem, nie bez licznych wad.

Przytoczyliśmy umyślnie główną treść rzeczy tej, aby wykazać, że były w niej istotnie dramatyczne czynniki. Jakże je wyzyskano?

Władysław, który miał zarys w prologu a nawet w akcie I. na bohatera tragedyi, ze względu na zamach swój i cel, już w akcie III. jest lirycznym kochankiem i to jak na wiek swój w kolorycie zupełnie fałszywym, a względnie do pierwiastkowych potężnych zarysów swojego charakteru, ckliwym aż do niesmaku. Dafnis to 18 wieku — nie XIV pancernik. Takim kochankiem pozostaje aż do końca... Już tu jemu i autorowi tylko o tę miłość chodzi. Zresztą mało się co dzieje ważniejszego i dla tego źle się dzieje. Gdybyśmy bowiem widzieli w utworze więcej czynów „Władysława“, mających związek z planem jego, dążeniem a więc z jądrem tragedyi, miłość owa mogłaby się stać istotnie czynnikiem tragicznym, rozumie się traktowana nie deklamacyjnie, ale po ludzku.

Tymczasem, ledwo gdzie niegdzie, z ust żołnierzy, w obozie Sędziwoja, dowiadujemy się o jakimś czynie, w ustach Władysława vox, vox, praeterea nihil.

Wprawdzie vox ten, częstokroć ustrojony w powabną bardzo szatę pięknych wierszy; takim jest sentymentalny monolog w akcie III. cały w dziesięcio-wierszowych zwrotkach, taką scena II. w akcie IV. i wiele innych: wszędzie słyszymy uczucia a nie widzimy czynów. A jednak bez tej drobnostki nie ma dramatu.

Bohaterka licuje zupełnie z rycerzem. Jestto jedna z tych szablonowo szlachetnych i uczuciowych istot, które dla swej pospolitości — współczucia w chwilach najżywszych nawet nie budzą.

Pospolitość — oto właśnie słowo...

Przekleństwo komunału cięży na całym utworze i jest jego najcięższym grzechem i tem dziwniejszym, że autor młodym jest podobno — prędzej więc przeciwnego ekstremu spodziewać się możnaby było i łatwiej przebaczyć...

Nie miejsce tu na cytaty, prosimy jednak przeczytać w akcie I. rozmowę Sędziwoja z królem, a nawet miłośne kochanków dyalogi, które dlatego właśnie deklamacyjnością rażą, że w nich pospolite myśli, z wielkiemi słowami się wiążą.

A ówże nieszczęsny kochanek i zdrajca Wszebój, który właściwego tonu dla dzikich uczuć swoich znaleźć nie może, z okropnem, stereotypowem ha!!! i całym arsenałem harpij jędz i wężów w ustach...

A stary i niezabawny pijak Krystyn ze Skrzypowa — ubliżający godności tej tragedyi, i którego nawet zasada grotesque et sublime nie usprawiedliwia.

Prolog i kilka miejsc wybranych z cechą wyższego i gorętszego natchnienia świadczą jedynie o talencie lirycznym autora i wskazują, że wyżej wznieść się potrafi.

Wykazaliśmy główne wady tej pracy, — drugo i trzecio planowych postaci ledwośmy tknęli, dostatecznie bowiem osoby główne dzieło to charakteryzują pozostaje tylko łaskawym czytelnikom naszym porównać „Władysława“ z „Krokiem“ i „Na Ukrainie“, a następnie... napisać dramat i posłać go na konkurs krakowski...

W. O.

Humoreska.

Słonecznik i słońce.



Jak słonecznik za słońcem, tak głowa moja obraca się za Tobą Pani!

Piękne porównanie; — szkoda, że nie zupełnie trafne.

W czemże zachodzi różnica? —

Niestety w oleju, który słonecznik posiada. —

Do Szanownych Abonentów „Strzechy"!

Zamykając niniejszym zeszytem szósty już rocznik pisma, któremu z taką wytrwałością użyczaliście dotąd łaskawego poparcia, zdaje nam się, że mamy nietylko prawo ale i obowiązek, przedstawić Wam otwarcie położenie, w jakiem wydawnictwo obecnie się znaduje, i odwołać się zarazem z całą ufnością do Waszej niczem niezachwianej sympatyi i życzliwości.

Gdy „Strzecha" przed sześciu laty, prawie zaraz po ogłoszeniu swego programu, znalazła u Publiczności tak pochlebny i znaczny udział, jakiego nie zapamiętano prawie w rocznikach naszego dziennikarstwa, musiało to zaprawdę utwierdzać nas w miłém przekonaniu, żeśmy szczęśliwie odgadli będące na dobie życzenie ogółu, i że przeto przy sumiennem dopełnianiu naszych zobowiązań możemy pismu naszemu rokować na długo stały byt i powodzenie. Ale niestety zbyt wcześnie rozczarowało nas smutne doświadczenie! Jakkolwiek bowiem „Strzecha", mimo niesłychanych początkowo trudności, trzymała się zawsze jak najwierniej swojego programu, i chociaż z chwilowemi tylko wyjątkami była ona jedyną prawie reprezentantką życia literackiego w naszym kraju: — musiała przecież w pierwszych już latach istnienia swojego z niejednym liczyć się zawodem, a w ostatnich trzech latach mogły już tylko ofiary nakładcy uchronić ją od grożącego upadku. Wszelako i to wysilenie okazało się niedostatecznèm; stosunki bowiem dzisiejsze, pogorszając się z dniem każdym, doszły w ostatnich czasach do takiego stanu, że dalsze ofiary ze strony nakładcy stały się już niepodobnemi; i wydawnictwu nie pozostaje przeto nic innego, jak tylko odwołać się do swoich stałych ośmiuset abonentów o łaskawą pomoc, która nietylko zapewnić może dalsze istnienie tego pisma, ale przyczynić się oraz do podniesienia jego wartości literackiej i artystycznej.

W Wasze więc ręce, Szanowni Abonenci, składamy dalsze losy „Strzechy"! Nie idzie tu o żadną ofiarę pieniężną z Waszej strony; nie dla tego uciekamy się do pomocy Waszej, by nam chodziło o zyski materyalne: — przewodniczką naszą jest tylko szlachetna ambicya, ażeby to dziecię najlepszych chęci naszych, któremu sami daliśmy życie, i które pielęgnowaliśmy dotąd z taką troskliwością na pożytek kraju, nie zginęło marnie, przygniecione nieprzyjaźną ręką losu. Wszakże ono tak wiernie spełniało dotąd swoje posłannictwo! Zająwszy raz wskazane programem stanowisko czysto narodowego i patryotycznego orędownika potrzeb umysłowych, nie zeszło zeń ani na chwilę i wytrwa na niem pewno do ostatniej chwili swojego żywota. Ale właśnie ten wyłącznie rodzimy kierunek „Strzechy", jak z jednej strony stanowi główną jej zaletę i zasługę, tak z drugiej znowu główną jest przyczyną niepomyślnych jej stosunków materyalnych. Gdyby wydawcy chodziło tylko o interes własny, łatwo mógłby cel osiągnąć: potrzebowałby tylko nadać pismu swemu barwę więcej kosmopolityczną, zastosować się do wymagań cenzury pruskiej i moskiewskiej, a liczba abonentów urosłaby pewno do takiej wysokości, że przedsiębiorstwo z korzyścią by się wypłacało. Ale cóżby wtedy stało się ze „Strzechy"? — organ suchy, mdły i pozbawiony interesu narodowego, jakiemi zwyczajnie są pisma cenzurowane, a coby wcale nie przynosiło zaszczytu nam, mającym wolność słowa i oddychającym dziś swobodniej, niż bracia nasi w obudwu innych zaborach.

Do Was tedy, wierni Abonenci nasi, którzy z taką życzliwością wspierając nasze wydawnictwo, złożyliście tèm samém dowód, jak wielce cenicie wolność słowa, jak drogim jest dla Was każdy objaw ducha narodowego — do Was zanosimy dziś z całém zaufaniem prośbę, ażebyście załączone do niniejszego zeszytu karty abonamentowe łaskawie rozszerzać raczyli w kołach równiemyślących przyjaciół i znajomych Waszych, którym częstokroć tylko lekkiej pobudki potrzeba, ażeby zjednać ich udział dla tego uczciwego przedsiębiorstwa. Niechby z owych ośmiu kart, które składamy w szanowne ręce Wasze, powróciło choć kilka do nas z adresami nowych abonentów, a dalsze losy „Strzechy" byłyby już zapewnione.

W miłém tedy przekonaniu, że szczera prośba nasza nie pozostanie bezskuteczną, i że tym sposobem dalsze istnienie naszego pisma będzie zapewnione, uważamy jeszcze za obowiązek z naszej strony, złożyć przy téj sposobności najszczersze podziękowanie dotychczasowym Abonentom naszym i zapewnić Ich oraz, że przygotowania, jakie poczyniliśmy już do nowego rocznika „Strzechy", odpowiedzą najzupełniej Ich zaufaniu.

Lwów, w styczniu 1874.

Wydawnictwo „Strzechy"
F. H. Richter.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą F. H. RICHTER. Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO.